



Tylko u nas – ogłoszenia drobne za darmo!!!

# Łódź Odgłosy

Nr 21 (1706)

Rok I (XXXIV)

13 października

1991 r.

Cena 3000 zł

## I po co nam elita?



**P**o słynnej pikiecie Belwederu, podczas której pan prezydent Lech Wałęsa oberwał gruszką w Matkę Boską, przyszła kolej na Łódź.

30 września o godzinie 11 z placu Wolności ruszył pochód NSZ Emerytów i Rencistów „Solidarni”, który Piotrkowską dotarł pod Magistrat. Pikietujący żądali rozmowy z prezydentem. Władza nie reagowała. Tłum zaczął skandować „ZADAMY PREZYDENTA”!!!

– Podanie mamy napisać, żeby do nas wyszedł? Hrabia!

– Obstawili się ochroną, dobrze, że nie strzelają...

Zniecierpliwienie i zdenerwowanie rosło. Emeryci zaczęli wyciągać odcinki rent. Starszy pan w zniszczonej marynarce żalił się wszystkim dookoła: – Mam 650 tysięcy renty, po zapłaceniu świadczeń zostaje mi 350. Suchą bułką mam wykarmić cukrzycę?...

– Ja mam 620 tysięcy, za światło płacę 200, bo nie mam ani wody, ani gazu. Jak wszystko popłacę zostaje mi 320 na życie i z tego muszę jeszcze kupić zagraniczne lekarstwa, bo jestem po czterech operacjach. Po to mnie leczyli, że bym teraz z głodu miała umrzeć – wyrzuciła z siebie z płaczem kobieta.

– A pan Wałęsa chrzciny sobie pokazuje w telewizji, kościoły się buduje, a ludzie nie mają co jeść. Ludzie są bez pracy, cholera, mieszkań nie mają, a nowe kościoły są potrzebne!...

– Nie wiem, czy pies by przeżył za te pieniądze. Nam się chyba też coś należy za tyle lat pracy. Żeby ktoś nas wysłuchał, ktoś pomógł...

Władza postanowiła wysłuchać pikietujących. Jako pierwszy do demonstrantów przemówił dyrektor Benedykt Czuma:

– Przyjmujemy teksty państwa z całym zrozumieniem i te teksty jeszcze dziś wysłamy do Sejmu, Senatu i Prezydenta RP. Myślę – dodaje po wysłuchaniu postulatów do władz Łodzi – że sytuacja może ulec zmianie dopiero po wyborach.

Demonstrantom to nie wystarczyło. Nadal domagali się prezydenta. Wreszcie pojawił się sam Grzegorz Palka, który oświadczył, że nie może pomóc emerytom odnośnie postulatu ograniczenia cen artykułów spożywczych, zaś „pozostałe postulaty – zniesienie podatku od wody i ścieku, zmniejszenie opłat za czynsz,



energię i wodę, zniesienie opłat czynszowych od lokalu zajmowanego przez NSZ Emerytów i Rencistów – zostaną spełnione w ciągu najbliższego tygodnia”...

– Wśród nas są ludzie chorzy, dlaczego musieliśmy aż dwie godziny na pana czekać?

– Miałem inne sprawy.

Wysłuchawszy żalów najuboższych staruszków pan prezydent Grzegorz Palka z podziękowaniem opuścił miejsce wiecu. Nikt niczym nie rzucił.

Andrzej Arczewski

Zdjęcia: Andrzej Arczewski



U nas kupisz prawie wszystko!

HURTOWNIA ARTYKUŁÓW ELEKTRYCZNYCH

**JUST-AMICO**

Łódź,  
ul. Duńska 1,  
tel. 52-12-02

**„DAMIS”**

bezpośredni importer – poleca:  
ARTYKUŁY I ZABAWKI DO  
ROBIENIA ŻARTÓW, m.in.

- znikające atramenty
- sztuczne kupy
- brudzące mydła
- tańczące puszki

Łódź,  
tel. 56-01-88

● I OKOŁO 180 INNYCH  
ATRAKCYJNYCH ZABAWEK  
TEGO TYPU



spółka z o.o.

Szanując przyzwyczajenia, nie tracąc jednak z oczu mody światowej i zapotrzebowania rynku, stawiamy do dyspozycji Szanownych Klientów:

- hurtownię szeroki wybór atrakcyjnej odzieży importowanej,
- dom handlowy,
- usługi importowe,
- skład celny.

Posiadamy najlepszą obsługę, wyposażenie techniczne najbardziej znanych firm światowych, towar odpowiadający cenie pod względem jakości i rodzaju oraz możliwości finansowych kupujących.

Nasz adres:

Dom Handlowy „TEOFIL”  
Łódź, ul. Aleksandrowska 38  
sprzedaż detaliczna, hurtowa, usługi importowe  
tel. 52-71-60, 52-71-65, fax 55-71-39, tlx 88-51-62

BAZA MAGAZYNOWA I SKŁAD CELNY  
Łódź, ul. Brukowa 8, tel. 51-55-16, magazyn nr 5

**PRZYJDŹ, ZOBACZ, KUP! POLEĆ NAS SWOIM ZNAJOMYM!  
ZAPRASZAMY**



● Biskup Józef Michalik wygłosił w Gorzowie Wielkopolskim homilię. W homilii tej stwierdził: „Nieraz powtarzam i będę powtarzał: katolik ma obowiązek głosować na katolika, chrześcijanin na chrześcijanina, muzułmanin na muzułmanina, Żyd na Żyda, mason na masona, każdy komunista na komunistę”. Wypowiedź ta zbulwersowała znaczną część opinii publicznej. Niektórzy zwracają uwagę, że jest to tylko fragment wypowiedzi wyrwany z kontekstu. Jakkolwiek by to interpretować, jest to bez wątpienia agitacja na rzecz ugrupowań chrześcijańskich. Biskup Józef Michalik nie wygłaszał tych słów przy herbatce popołudniowej, ani podczas towarzyskiego spotkania. Wypowiedział je w kościele podczas odprawianej mszy. A miało nie być żadnej agitacji w kościołach, za czym opowiadali się biskupi polscy.

● Znow Niemcy biją Polaków. We Frankfurcie nad Odrą przy przejściu granicznym czterech młodzieńcy w wieku od 19 do 22 lat rozbili kijami szyby w polskim samochodzie, zniszczyli radio i poturbowali pasażerów. Pobitym nikt nie pośpieszył z pomocą. Niemcy bili Polaków przy aplauzie rodaków. Pasażerowie innych samochodów zabarykadowali się. Policja ujęła rozbójników. Nie zmienia to faktu, że nas w Niemczech nie lubią i biją przy byle okazji, a często i bez.

● W Polsce cudzoziemcy też nie czują się spokojnie. Okrada się ich, bije, napada, a niekiedy morduje. W lesie cedzyskim pod Kielcami, w miejscu biwakowania handlarzy z ZSRR, spalono samochód z radzieckimi znakami rejestracyjnymi i zamordowano trzy osoby z Ukrainy. Policji udało się ustalić tożsamość zamordowanych: Władimir Aleksandrowicz Szczerbina, Władimir Dmitriewicz Szczerbina i Natalia Anatolijewna Pleten. Swego czasu w podobny sposób zamordowano Polaków pod Równem na Ukrainie. Policja przyjęła kilka hipotez. Wykluczono jednak motywy polityczne. Poszukiwania morderców trwają.

● Sąd Wojewódzki w Warszawie uznał, że były wicepremier Ireneusz Sekula nie jest związany ze spółką „Interster” i zwrócił się do Wydawnictwa „Tygodnika Solidarność”, aby zaprzestało publikowania nieprawdziwych informacji na ten temat. Wydawnictwo i dziennikarz tam zatrudniony, Andrzej Korybut-Daszkiewicz mają przeprosić Ireneusza Sekulę za nie sprawdzone posądzenia oraz wpłacić milion złotych na PCK. Orzeczenie zapadło pod nieobecność pozwanych i nie jest prawomocne. Na rozprawę z podobnego pozwu Ireneusza Sekulę nie stawili się pozwany Jacek Maziarowski. Sąd postanowił, że woźny sądowy doręczy mu wezwanie osobiste. Rzucac pomówienia łatwo, stawać potem przed sądem, jak z tego wynika, jest znacznie trudniej.

● W całej Polsce pojawiły się plakaty wyborcze Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Na czarnym lub granatowym tle, jakby z mroku wyłania się twarz premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego. U dołu napis: „Nie bój się jutra”. W Kórniku plakat taki wywieszono w witrynie zakładu pogrzebowego. Dawid W. w „Gazecie Wyborczej” skomentował to następująco: „Premier Bielecki zapewnienia, że potrafi „nie bać się jutra”. „Ja też się jutra nie boję. Boję się dziś”. Nasz komentator ZJM pisze:

Twarz raczej smutna i w czerni afisz.  
„Nie bój się jutra” – dziś szlag cię trafi!

● Polwyspowi Hel grozi oderwanie od lądu i na naszych oczach stanie się wyspą. Ministerstwo Transportu i Gospodarki Morskiej zostało pozbawione 52 procent swego budżetu. Brzezi Helu od strony otwartego morza wzmocniano piaskiem przetrzucanym rurociągiem z Zatoki Puckiej. Wydano na ten cel 40 miliardów złotych. Nie ma teraz pieniędzy na dalsze pompowanie piasku z Zatoki Puckiej na brzeg helski. Nadchodzą natomiast jesienne sztormy, które nie sobie nie robią z naszych kłopotów budżetowych. Sztormy zniszczą to wszystko, co do tej pory zrobiono. Na dodatek mogą oderwać od lądu Hel i Polska będzie posiadała jeszcze jedną wyspę na Morzu Bałtyckim. Też zysk.

● Alfred Miodowicz zapowiedział odejście z OPZZ. Odbędą się w listopadzie wybory nowego przewodniczącego. Zdaniem Alfreda Miodowicza za długo był przewodniczącym. Co będzie robił dalej? Do działalności handlowej nie nadaje się. Do żadnej spółki nie wstąpi. Zajmie się polityką. Czy napisze pamiętniki? – na ten temat nie wiadomo.

● Nowym lekarzem wojewódzkim została dr Zofia Kralkowska. W wypowiedzi do „Dziennika Łódzkiego” uznała, że zaczynanie od prywatyzacji zakładów opieki zdrowotnej jest nieporozumieniem i może się odbić na zdrowiu pacjentów, trzeba zacząć od zmian w systemie ubezpieczeniowym. Od dawna twierdziłmy, że służba zdrowia jest nieretoryczna. Jeszcze nikomu nie udało się tego dokonać. Próbować jednak trzeba, aby tylko nie kosztem ludzi chorych.

B.M.

## Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”  
Redaktor naczelny Mirosław Kuliś  
Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.  
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5  
☎ 36-52-44  
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.  
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

J. Waldorff: – Musimy pamiętać, że w osiemnastym roku, który ja jeszcze pamiętam jako dziecko, to dwa cudy nastąpiły. Pierwszy cud, że rozleciały się trzy mocarstwa, że mogła wyjść znikąd Polska. Ale ta Polska miała od razu znakomitych parlamentarzystów, wykształconych w trzech parlamentach: austriackim, niemieckiej Izbie Panów i Dumie rosyjskiej. I stąd myśmy mieli od lewicy, od Daszyńskiego i Witosa, aż do prawicy – Paderewskiego i działaczy śląskich, myśmy mieli znakomitych, wyrobionych parlamentarzystów. Teraz ich nie ma. Po prostu. Dlatego słyszy się niestety takie głupstwa z trybuny sejmowej. I to tyle lat.

L. Wałęsa: – Więc ja już na skraju wytrzymałości, na skraju przechodzę do dalszego biegu.

J. Waldorff: – To już bardzo niedługo, już trzy tygodnie do wyborów.

L. Wałęsa: – No, ja jeszcze się boję różnego typu prowokacji.

J. Waldorff: – A, one będą?

L. Wałęsa: – I stąd, widzi pan... Jakże jeszcze pan zauważa mankamenty?

J. Waldorff: – W pańskim rządzeniu?

L. Wałęsa: – Tak. W ogóle. W tym, co się dzieje w Polsce.

J. Waldorff: – Uważam za mankament to, że nie ma pan prawa wydawania... jak to się nazywa...

L. Wałęsa: – ...dekretów!

J. Waldorff: – ...dekretów z mocą ustawy! No, ale to też z nowym Sejmem, bo co ma pan gadać z tym Sejmem. Z tym Sejmem chodzi o to, żeby dotrzymać trzy tygodnie.

L. Wałęsa: – Dokładnie.

J. Waldorff: – I być, mnie się zdaje, być

## „Lubię oswajać naburmuszone ekspedientki i rozbrajać bojowe kelnerki”.

Jesteśmy niepewni siebie, niepewni własnych osiągnięć, za to aż za bardzo pewni własnych klęsk. Jak każdy zakompleksiony człowiek, tak i naród, składający się z zakompleksionych jednostek, nie może uwolnić się od spoglądania ukradkiem w lustro. Dla czytelników prasy takim lustrem są opinie cudzoziemców o Polsce i Polakach, na które zawsze znajdzie się miejsce na łamach, choćby były one najbardziej krytyczne. Zachodzi tu nawet swoisty masochizm: im bardziej krytyczne opinie, tym chętniej są drukowane.

Od teorii przejdźmy do przykładów. W „Przeglądzie Tygodniowym” nr 38 wypowiada się Gunnel Arbin, szwedzka dziennikarka, często odwiedzająca nasz kraj. Oto, co sądzi ona o polskiej demokracji:

„Niedawno przeczytałam tekst o Polsce napisany 70 lat temu przez pewnego szwedzkiego historyka. Zaskoczyły mnie jego trafne spostrzeżenia charakteryzujące typowe cechy polskiej szlachty w XVII wieku. Otóż w opinii autora przedstawiciele szlachty znad Wisły byli nadzwyczaj gościnni, lubili dużo jeść, dużo mówić, nie potrafili oszczędzać pieniędzy i więcej uwagi poświęcali interesom prywatnym niż interesom Polski. W ówczesnym Sejmie także dużo mówili a mało robili. Przeważnie kłócili się zażarcie i tylko z rzadka osiągnęli jakiś consensus.

Czyż nie przypomina to dzisiejszego polskiego parlamentu? Postawie się przecież nadzwyczajnie elokwentni, bez przerwy przemawiają, ale decyzji ważnych dla kraju podejmują mało. Obcokrajowca dziwi, że nie ma jeszcze ustawy regulującej stosunek między pracodawcami i pracownikami. Leży pewnie do dziś dnia w jakiejś komisji. Oznacza to, że wszystkie strajki są nielegalne. Natomiast przedmiotem zażartych obrad są najczęściej kwestie dotyczące nie spraw gospodarczych, ale moralnych, jak np. ustawa o aborcji.

Tak zwani zwykli ludzie dowiadując się, że jestem zagraniczną dziennikarką, pytają mnie często, co sądzę o polskim parlamencie. Mówię wtedy, że uważam Sejm za największy dom wariatów.”

Trzeba uczciwie powiedzieć, że Gunnel Arbin widzi też nasze zalety, ale jakoś dziwnie przemieszane z tradycyjnymi wadami:

„Polacy są narodem bardzo zdolnym, znani są z talentów artystycznych. W całym świecie znane są polskie filmy, malarstwo czy muzyka. Tylko że artyści mają to do siebie, iż nie są punktualni. Ta cecha u Polaków wydaje się wielce rozpowszechniona. Raz czekałam na Stefana Bratkowskiego trzy godziny w warszawskiej kawiarni. Stefan się nie zjawił, ale poznałam jego sympatyczną żonę, która też na próżno czekała. Na Zachodzie, jeżeli dziennikarz unawia się z politykiem, to ma pewność, że spotkanie jest zaklepane. W Polsce panuje dziwny zwyczaj, że kilka dni przed spotkaniem należy zadzwonić do sekretarki, żeby potwierdzić termin. Jeżeli uda ci się dozwonić.”

Na końcu swej opowieści krytyczna Szwedka przyznaje się jednak do afektu:

„Zapytał mnie raz Bratkowski, dlaczego ja tak strasznie kocham Polskę.

Odpowiedziałam: – Dlatego że Polska jest paradoksem, a ja kocham paradoksy. Innej odpowiedzi nie potrafię znaleźć.”

Podobnie ambiwalentnie widzi nas młody dziennikarz niemiecki, Joachim Weidemann, w

# Krótka rozmowa Prezydenta z Nestorem

nastawionym na wypadek, gdyby były jakieś awantury typu rumuńskiego, na posłuszenie się siłą militarną, czy siłą policyjną, tu już nie wiem. Bo tu mogą być jakieś próby. Ja ciągle sobie myślę o tym, że z chwilą, kiedy „Solidarność” doszła do władzy z panem na czele, to komuniści przecież nie znikli, oni są dalej, tylko zeszedli do podziemia. Prawda? I oni jeszcze będą starali się w ostatnim etapie rozbrajać.

L. Wałęsa: – Dlatego powiedziałem kiedyś i teraz mówię, że za wszystko się płaci. Ja doszedłem do wniosku, jako praktyk, że najbardziej ludzi dziela pieniądze.

J. Waldorff: – Tak.

L. Wałęsa: – I teraz kiedy wiedziałem, że tracę władzę polityczną, to oni pójdą w ekonomię. I każdy gdzieś tam się ustawi, ale już wtedy nie będzie solidarny. Będzie myślał o sobie.

J. Waldorff: – Tak. Tak.

L. Wałęsa: – Dlatego dążyłem do tego, żeby prawo pozwoliło mi rozwiązać wszystkie problemy i te machloje. Oni są teraz podzieleni, bo się poustawiali. I będzie się można wszędzie dobrać, gdzie trzeba się dobrać. Gdybym ich

utrzymał zwartych i silnych, nie pozwolił im na ten ruch, to byłoby niebezpieczni, bo odeszli z bronią.

J. Waldorff: – Tak. Tak. Tak.

L. Wałęsa: – Oni odeszli z bronią i musieli by, przyciśnięci do muru, musieli coś tu wykonać. A więc na razie Opatrzność i nasze działanie, chcący-niechcący, układają się dobrze.

J. Waldorff: – Tak. Tak. Tak. Chwała Panu Bogu! Na całym Wschodzie, nieprawda, począwszy od linii demarkacyjnej między Europą Zachodnią, która się dziś nazywa... – ja zresztą nie lubię tych odróżnień, bo ja od urodzenia czuję się Europejczykiem.

L. Wałęsa: – Pan miał możliwości.

J. Waldorff: – Kiedy pan prezydent Wałęsa, mimo że mógłby być moim synem – on też w swoich działaniach jest Europejczykiem. To są europejskie działania. Pan czasami potrafi mieć taką silną rękę jak pani Thatcher. Gdyby nie to, że ma pan tak uroczą żonę, którą ja osobliście szalenie lubię, to ja bym chętnie wydał pana za panią Thatcher. Cha, cha, cha...

L. Wałęsa: – Cha, cha, cha...

(1.10.91 – I program TVP)



„Przeglądzie Tygodniowym” nr 40. Najpierw, co mu się u nas podoba. Okazuje się, że zupełnie coś innego, niż nam:

„Bo ja właśnie lubię szare, brudne fasady, walące się domo-krajobrazy. Lubię kocie tby w ciasnych uliczkach i kolebiące się tramwaje. Lubię ciężkie brunatnym węglem powietrze. Lubię staromodne wystawy, które jeszcze nie zasmakowały marketingu. Lubię „kawę po turecku i kremówkę”.

Lubię oswajać naburmuszone ekspedientki i rozbrajać bojowe kelnerki”.

Inne rzeczy, które podobają się wspólnie jemu i nam, przypominają do złudzenia wynurzenia Szwedki:

„Lubię ten kraj, bo tu nic nie jest ustalone, wszystko jest jeszcze w ruchu. Brak tu jakiegokolwiek pewności. Czy ona nie byłaby zresztą fałszerstwem? Bo przecież na Zachodzie za czystymi fasadami bynajmniej nie zawsze kryje się raj na ziemi. Lubię Polskę, bo tu nigdy nic nie jest tak, jak człowiek sobie wymyśli.

Lubię tych ludzi, ich polot i bystrość.

Czy to jeszcze mało, by tu zostać?”

Jest to jedna strona medalu. Istnieje bowiem i druga strona. Są w Polsce rzeczy, które młodego Joachima przerażają:

„Przeżyła mnie, jak Polacy traktują Cyganów. W swoim antycyganizmie w niczym nie ustępują Niemcom. Niestety. Dotychczas myślałem, że Polacy to tolerancyjni naród.

Nawet młodzi członkowie „Solidarności” mogli stwierdzić w pewnej dyskusji, że wszyscy żebracy w ich mieście to tylko „Cyganie”, a polskich żebraków w ogóle nie ma. Dlaczego ksiądz mógł przejść obok żebrzącego cygańskiego dziecka, nie zaszczycając go ani jednym spojrzaniem, nie mówiąc już o kilku ciepłych słowach. Czy przed Bogiem i Jezusem Chrystusem tu w Polsce nie wszyscy ludzie są równi? Czy ktoś z „Solidarności” albo z Kościoła jest lepszym człowiekiem niż Cygan albo żebrak?

Albo niż Rosjanin? Jak Polacy obchodzą się z przybyszami ze Związku Radzieckiego? To prawda: Moskwa długo ciemniła Warszawę. I ciężkie dziedzictwo komunizmu Polakom będzie jeszcze długo doskwierać. Ale czy wolno im mścić się za sowiecki system na pojedynczych ludziach, którzy tak samo długo byli uciskani?”

Na zakończenie tego nietypowego „Przeglądu” zostawiłem smakowity kąsek: wypowiedź Petera Stratenwertha, Szwajcara z Bazylei, który całkowicie dobrowolnie... osiedlił się w Polsce! Dlaczego? Przeczytajcie fragment z „Gazety Wyborczej” (z 4 października):

„W roku 1986 pierwszy raz przyjechałem do Polski. Zwiedziłem wówczas wieś koło Wrocławia, gdzie w 1924 r. odbył się kurs rolnictwa biodynamicznego prowadzony przez twórcę tej metody Rudolfa Steinera. Byłem zaskoczony, że w

polskim rolnictwie istnieją struktury, których na Zachodzie nie ma już od kilkudziesięciu lat. Pomyślałem, że chętnie byłbym rolnikiem w kraju, gdzie rolnictwem trudni się jedna trzecia mieszkańców. Fascynował mnie polski krajobraz, nie zniszczony przez intensywne rolnictwo, krajobraz, w który w naturalny sposób wtapiają się małe gospodarstwa, nie wymagające pracy dużych, ciężkich maszyn rolniczych.”

Szwajcar osiedlił się więc w Gostkowie pod Plockiem, zakupił 4,7-hektarowe gospodarstwo i zabrał się do pracy z istic szwajcarskim podejściem:

„Zbudowałem małą piekarnię oraz mały zakład serowarski. Skupuję mleko i zboże od okolicznych rolników, którzy nie stosują nawozów sztucznych i chemicznych środków ochrony roślin. Ziarno mielę we własnym młynie i w tygodniu wypiekam około stu bochenków razowego chleba. Mleko przerażam na twaróg i żółty ser. Produkty te – a także warzywa z okolicznych upraw ekologicznych – wozimy raz w tygodniu do Warszawy i sprzedajemy na kiermaszu organizowanym przez Ośrodek Kultury na Ochocie (...)

Grzybowski rolnicy przekonali się do upraw ekologicznych. Widzę, że jest na nie duży zbył i że są optycalne. Kilku gospodarzy zdecydowało się już na zmianę produkcji. Budzi ona coraz większe zainteresowanie, często przyjeżdżają do mnie rolnicy z innych rejonów Polski, nauczyciele ze szkół rolniczych, przedstawiciele ośrodków doradztwa rolniczego z całej Polski, studenci z kraju i zagranicy.”

Szwajcar, po kilku spędzonych u nas latach, ma już oczywiście własne refleksje na temat polskiej wsi:

„Spostrzegłem na przykład na wsi pewną niechęć do wzajemnej pomocy i współpracy. Tymczasem uprawa ziemi w sposób ekologiczny, naturalny, wymaga bliskiego współdziałania grupy rolników. Jeżeli tylko jeden gospodarz we wsi będzie uprawiał ziemię w odmienny sposób, będzie odbierany w okolicy jako dziwak. Duże znaczenie ma więc stosunek władz i mass mediów do rolnictwa ekologicznego. Traktowanie go jako „modelu ładnego, ale utopijnego” może przynieść tylko szkody. Zdrowej żywności będzie mniej i będzie dużo droższa od produkowanej konwencjonalnie.

W polskim społeczeństwie rolnicy niestety nie cieszą się szacunkiem. Mało kto dostrzega piękno i twórczą wartość ich pracy, mało kto garnie się do tego zawodu”

Prawda, że przeglądanie się w zwierciadle cudzoziemskich oczu jest pozytywne? Jakże inaczej moglibyśmy się dowiedzieć, że polski krajobraz jest bardziej fascynujący niż krajobraz okolic Bazylei? Szukajcie w Polsce Szwajcarów, a uwolnicie się od kompleksów!

# Umyślne podpalenie?

## - Nie wykluczam

Popołudniowa zmiana w Łódzkiej Wytwórni Papierosów kończy pracę o 22.00. Tak było również w środę wieczorem, 25 września. Dwaj mistrzowie, którzy w 20 minut później wyszli jako ostatni, nie zauważyli niczego niepokojącego. Drzwi, jak zwykle, zostały zamknięte i zaplombowane. Alarm podniósł dopiero portier. W czasie obchodu, okrążając budynek produkcyjny, zobaczył odbłask w trzech oknach na pierwszym piętrze. Gdy zawiadomił straż, była godzina 22.39. W kilkanaście minut później płonęła już cała kondygnacja. Pożar rozprzestrzenił się błyskawicznie.

Przybyło 21 sekcji gaśniczych, którym o północy udało się ograniczyć zasięg ognia. Walka z pożarem trwała do rana. Jeszcze w czwartek po południu dogaszano pojedyncze ogniska. Ostatecznie przekazanie przez straż pogorzeliiska nastąpiło dopiero w piątek wieczorem. Zniszczeniu (w różnym stopniu) uległo 12 linii do produkcji papierosów - wszystkie, jakie posiadała fabryka. Spaliły się trzy najnowocześniejsze w Polsce linie angielskie, z maszynami o zdolności produkcyjnej 4 mln sztuk papierosów dziennie - przy pracy na dwie zmiany. Wytwarzały one papierosy typu „King-size”, m.in. Cowboy'e, Neptuny i Wenus. Straty w towarze: 9 mln sztuk papierosów i 20 ton tytoniu. Nie ucierpiały natomiast oddziały wyrobu tytoni oraz pakownia.

Odbudowy wymaga dwupiętrowy budynek o murach z cegły, lecz o stropach i podłogach - z drewna! Jest to przypuszczenie, gdyż nie wiadomo, czy to 103-letnie (sic!) gmazysko nadaje się jeszcze w ogóle do wykorzystania. Dyrektor wytwórni, Roman Maj przyznaje, że taki „zabytek”, używający swych wnętrz na produkcji papierosów, to w skali światowej ewenement.

Jaka była przyczyna pożaru? W tej kwestii skazani jesteśmy na razie na domysły. Zdaniem dyrekcji, mało prawdopodobna jest hipoteza o spięciu elektrycznym. Transformator tzw. siły wyłączono o godz. 21.50. Gdyby więc nastąpiło spięcie, trudno przyjąć, aby nie zostało przez pracowników w porę zauważone. Podobnie możliwa, chociaż mało prawdopodobna wydaje się wersja o zarzewiu od niedopałka. W wytwórni - zapewnia dyrekcja - su-

rowo przestrzegano reguł palenia: jedynie w wyznaczonych miejscach. Tymczasem, jak wynika z obserwacji portiera, zarzewie powstało w hali, przy maszynach, zaś szybkość rozprzestrzeniania się ognia - nawet jak na drewniane stropy - była zadziwiająca.

Czy możliwe jest zatem umyślne podpalenie? - Nie wykluczam takiej możliwości - mówi dyrektor Maj. Przyznaje jednak, że jest to czysta spekulacja. Jak dotąd, nie ma żadnych dowodów. Jeszcze bardziej fantastyczne są przypuszczenia, że podpalenia mogłyby dokonać konkurencja. Owszem, inwazja zachodnich marek papierosów na rynek krajowy przybrała ostatnio niepokojące rozmiary. Polskie przedsiębiorstwa, które ponoszą przez to straty, starają się o zmianę polityki rządu m.in. w zakresie cel importowych. Nie ma jednak jakichkolwiek podstaw, aby wiązać te sprawy z pożarem. Tym bardziej, że fabryka w Łodzi jest najmniejszą wytwórnią papierosów w Polsce.

Faktem jest, że pożar unieruchomił zakład, wytwarzający 4,6 procent całej krajowej produkcji. Trwa



Andrzej Gębarowski

## Kto będzie silniejszy: wojewoda czy dyrektorka Sanepidu?

W czasie, gdy cywilizowana Europa rzuca palenie, my uparliśmy się, że i na tym polu będziemy ostatni, czyli najgorsi. Wypalamy rocznie 2500 sztuk papierosów na głowę obywatela, wliczając w to nawet oeski. Wysiłki nielicznych lekarzy i społeczników, próbujących walczyć z nikotynizmem w Polsce, od lat traktowane były przez władze niepoważnie. W czerwcu br. zlikwidowano przysłowiowy kwiatek do kocha, jakim był Krajowy Ośrodek Zwalczania Palenia Tytoniu w Łodzi. Ci, którzy rozumieli, że ich nałóg jest ciężką chorobą organizmu, nie mają już gdzie się leczyć.

Skutkiem tej błędnej bez wątpienia decyzji Krajowego Inspektora Sanitarnego, Zbigniewa Hałata, próbuje się dziś zaradzić. Wojewoda łódzki podjął w lipcu postanowienie o wskrzeszeniu Ośrodka - w nowym kształcie i usytuowaniu. Jak dotąd, jego zarządzenie jest bojkotowane. Wojewoda i lekarz wojewódzki są najwyraźniej „za mali”, aby je wyegzekwować.

O co tu chodzi i komu zależy na tym, aby Ośrodek nie mógł funkcjonować?

nych pomieszczeń przy ul. Piotrkowskiej 194 wprowadziła się terenowa stacja Sanepidu ze Śródmieścia. Kawiarnię „Bezdynek” na parterze budynku, jedynę miejsc, gdzie mogli się spotkać niepalący, zmieniono w zwykły lokal rozrywkowo-gastronomiczny. Funkcję leczniczą i profilaktyczną - zaprzeczono. Chorych na nikotynizm, udreconych nalożem, odprawiono z kwitkiem.

Z całego Ośrodka został kadłubek, w postaci Pracowni Toksykologii Dymu Tytoniowego, którą włączono do działu badania żywności i używek. To tak, jakby uniemożliwić alkoholikom leczenie odwykowe, zadowolając się badaniem jakości wódek.

Ten - powtarzam - niewątpliwie błąd wiceministra Z. Hałata spróbował naprawić wojewoda Waldemar Bohdanowicz. 28 sierpnia wydał on zarządzenie o utworzeniu z dniem 1 września Krajowego Ośrodka Zwalczania Palenia Tytoniu jako samodzielnej jednostki budżetowej, z siedzibą przy ul. Piotrkowskiej 194. Przewidziano niezbędne fundusze z budżetu wojewódzkiego. Tymczasem minął miesiąc i... tymczasowy dy-

dramatyczny wyścig z czasem, gdyż rachunki symulacyjne wykazały, że przedsiębiorstwo zdoła się utrzymać, jeśli wyprodukuje co najmniej 160-200 mln sztuk papierosów w miesiącu. Na razie udało się zorganizować produkcję w Gostkowie k. Podębic, na maszynach wypożyczonych od pokrewnego zakładu z branży. Znalazło tam zatrudnienie 50 osób z ponad 400-osobowej załogi. Reszta - a zwłaszcza mężczyźni - uczestniczą w usuwaniu skutków pożaru.

W październiku, o ile wszystko się powiedzie, ruszy produkcja w magazynie, na 5 maszynach, przekazanych przez zakłady tytoniowe w Radomiu. W listopadzie powinna dołączyć wysokowydajna maszyna angielska. Zagraniczni kontrahenci, ci sami, którzy sprzedali wytwórni zniszczone przez pożar linie, zobowiązali się ją dostarczyć na warunkach preferencyjnych: za kredyt z angielskiego banku, ze splatą odłożoną na rok, rozłożoną na 5 lat następnym.

Pożar nie oznacza więc całkowitej katastrofy, chociaż jest niewątpliwie poważnym ciosem. Na szczęście, zakład był ubezpieczony w PZU, który na bieżąco pokrywać będzie wydatki związane z usuwaniem skutków pożaru. Zanim do niego doszło, wytwórni udało się wypracować spore zyski. To zdecydowało, że bank nie zablokował kredytów. Mają więc wszelkie szanse, aby wyjść z tego nieszczęścia. Jest to obecnie możliwe chyba tylko w takiej branży, jak tytoniowa: dopóki Polacy przeżywają stresy, zbyt jest zapewniony.

## Naoczny świadek opowiada

Panie, jak ja tam przyjechałem, to ogień był raptem na jednej kondygnacji, na powierzchni jednej części budynku. Strażacy już się szykowali do akcji: pełno wozów, mnóstwo ludzi, nerwowa, krzyki, rozgardiasz. Porozwijali węże, poskręcali je i stwierdzili, że szkoda że nie przywieźli tych grubszych, bo tymi cienkimi niewiele się działo.

Nie wiem, czy ktoś pojechał po te grube, czy kolejne wozy już je przywieźli, dość że wreszcie zaczęli podłączać również te grube. Przez ten czas już dwie-trzy armatki skierowano w ogień i lano z nich wodę. Trochę polano, ale coś tej wody za mało leci. Krzyczeli jeden na drugiego: dawaj ciśnienie, mam mało ciśnienia! Woda naprawdę zamiast bić w ogień, ledwo się lała, później w ogóle nie chciała lecieć. I to chyba w każdej armatce. Coś tam majstrowali, coś dumali - po chwili woda znów leciała. Ale za chwilę to samo: co z tym cholernym ciśnieniem?!

Tak dokładnie to się na tym nie znam. Zaczęli szukać hydrantu, bo tego ciśnienia z samochodów

## Dymek z (ŁW) papierosów

to było im za mało. Latali w te i nazad, węży na ziemi wszędzie pełno, co któryś cieknie, sikają fontanny, to się rozłączyły, to pękły, wody pełno. Najpierw porobiły się kałuże, potem cała ta woda wleciała do studzienki. No owszem, w ogień też ją lano. Ale to tak: trochę lano, to mocny strumień płomieni dusił. Jak go zabrakło, to powietrze jeszcze mocniej na ogień leci i go wznieca. Tak, jakby na zmianę: lano i dmuchano. To i pożar coraz większy.

Któryś z dyrekcji tłumaczył, że to na pewno te nowo oliwione maszyny tak się pała. Może i one, ale tam i bibułki sporo było, tej do papierosów, i stropy drewniane. Dość, że ogień przeszedł już na cały budynek, potem i na dach: też drewniany, z papą i smołą. To co się miał nie palić? Strażacy niby się ruszali, niby coś robili, ale co i rusz to pecha mieli. Bo jak już wezwali taki wielki samochód - cysternę, co to chyba z milion litrów wody miała, to on tak się przeciskał do ognia, tak sobie nie mógł miejsca znaleźć, że na koniec to przejechał przez te wszystkie węże na ziemi.

Wtedy się rozpetalo: awantury, znów nowa robota. Bo te węże z wodą były, to jak taka siła na nie wjechała, to popuszczają, popekają, porozlazły się. No nie wszystkie, ale to taka tam robota głupiego. Jak bałagan uprzęgnięto, dalej gaszono. Cóż jednak znaczą takie cztery armatki na taki wielki budynek? Może gdyby gasić ze wszystkich stron, od początku nie tylko w płomienie, ale i na dach, i na resztę ścian, gdyby wlać tam wszędzie pełno wody, to pewno ogień by się zahamował. A tak, to ludzie przyszli rano na pierwszą zmianę, znaczą się na szóstą, i okazało się że niepotrzebnie wstawiali, bo roboty nie było. Przecież cała fabryka spłonęła, znaczą się, cały ten budynek. Do cna. Ściany, stropy, maszyny. Nic nie zostało. A maszyny nowiutkie, niedawno w Anglii ponoć kupione.

To przyszli, głowami pokiwali, pogadali, że co za lichy, podumali że jak to możliwe, że w parę minut po drugiej zmianie taki pożar wybuchł i poszli z powrotem do domu. Bez pracy ludzie zostali, taki los. A z ogniem nie ma żartów. Takie szczęście ta Łódź do niego ma: jak nie „Dom Buta”, to „Chemia”. Jak nie „Chemia”, to znów te papierosy.

I jak to możliwe: nic nie zostało, jedno zgłiszczel! Może było nie przyjeżdżać: miało się spalić, to się i spaliło. Wola boska. Strażacy nic nie pomogli. Tak jak i straż, ochotnicza, na wsi. Zawsze przyjeżdżają, zawsze wodę leją, a domostwa zawsze do ziemi wypalone. Ale chłopcy na wsi, to mogą nie potrafić. Do takiej fabryki, to zawodowi powinni jeździć. I gasić szybko, solidnie, po fachowemu. Bo tak, to i tych ludzi, co bez roboty zostali szkoda, i tych zmarnowanych pieniędzy, i tych papierosów...

Notował: (Mach.)

# Odwyk na bruku

O likwidacji zdecydował wiceminister Z. Hałata, jednakże faktycznym likwidatorem stała się jego podwładna, dyrektorka łódzkiego Sanepidu, dr Alicja Ciechomska. Wszystko wskazuje na to, że inspiracja wyszła z kierowanej przez nią placówki, której Ośrodek był formalnie podporządkowany. Oficjalnie podparto się wynikami kontroli NIK, które - przy odpowiedniej interpretacji - zdawały się wskazywać na niską efektywność pracy Ośrodka. Gdyby jednak uwzględniono miejscowe, łódzkie opinie z kręgów szerszych, niż dyrekcja Sanepidu - choćby wypowiedziane przez radnych z komisji zdrowia Rady Miejskiej - do likwidacji dojść by nie musiało.

Dr. Ewa Kralkowska, przewodnicząca komisji, powiedziała w czerwcu br. „Odgłosom”:

- Być może istotnie Ośrodek pracował kiepsko, trudno mi to ocenić. Jeśli jednak tak było, to najpierwszym obowiązkiem zwierzchnika tj. Sanepidu była zmiana tej sytuacji. Dlaczego od razu likwidować?

Pani dyrektor Sanepidu wzięła się jednak od razu ostro do rzeczy. Zanim rozproszone głosy antynalogowców zdołały dotrzeć do opinii publicznej w kraju, personel został w części włączony do Sanepidu, w większej części - wyrzucony. Sprzęt ulokowano w piwnicach, zaś do opuszczo-

rektor nowo powołanego Ośrodka, dr Aleksander Lewandowski nie może się dostać do swojej statutowej siedziby, gdyż strzeże jej dyrektor Ciechomska, nie reagująca ani na pisma wojewody, ani na ponaglenia lekarza wojewódzkiego, dr Jacka Danowskiego. Nie godzi się na zwrot pomieszczeń, nie chce też oddać sprzętu laboratoryjnego.

Dyrektor Lewandowski siedzi więc kątem w Urzędzie Wojewódzkim przy użyczonej mu biurku, całą zaś „firmę” ma w teczce. Czeką, kto okaże się silniejszy: władze województwa, czy szefowa Sanepidu, popierana przez swojego wiceministra?

Dr Jacek Danowski, do października lekarz wojewódzki (obecnie przeszedł do pracy na uczelni) nie ukrywa swej irytacji:

- Jestem zdumiony przejawami złej woli ze strony pani dyrektor. Jako lekarze, powinno jej leżeć na sercu dobro setek ludzi skazanych na miłądzące tylko dlatego, iż nie ma obecnie nikogo, kto mógłby ich wydobyc z nalożu.

Dr Danowski kandyduje w wyborach parlamentarnych z ramienia ZChN. Nie to jest głównym powodem jego rezygnacji z funkcji lekarza wojewódzkiego. Jednym z głównych powodów rezygnacji jest natomiast złe układająca się

współpraca z „wysokimi urzędnikami ministerstwa”. W szczególności zaś - decyzja o likwidacji KOZPT oraz utrudnianie powołania nowego Ośrodka. Jakże są przyczyną tej niechęci ze strony resortu - trudno doprawdy dociec:

- Nie chcę wprawdzie dać wiary plotkom o powiązaniu faktu likwidacji Ośrodka z prawdziwą inwazją kapitału tytoniowego z Zachodu w Polsce, ale wielu decyzji ministerstwa nie potrafię sobie wytłumaczyć - przyznaje dr Danowski.

Wojewoda Bohdanowicz wystąpił przed kilkoma tygodniami do ministerstwa zdrowia o odwołanie dyrektora Ciechomskiej ze stanowiska. Jak dotąd - nie ma odzewu.

\* \* \*

Rynek polski jest atakowany przez zachodnie firmy z całą bezwzględnością. Nikt i nic nie ogranicza reklamy papierosów. Niektóre firmy posuwają się w promocji tak daleko, iż gotowe są (na razie) rozdawać swój towar za darmo. Tak było niedawno na Rynku Starego Miasta w Warszawie, gdzie piękne dziewczyny rozdawały za darmo paczki Marlboro. Import papierosów z Zachodu ocenia się na 12 mld sztuk rocznie!

Ten prawdziwy boom, którego konsekwencje objawiają się w przyszłości zwiększoną zachorowalnością na nowotwory, próbuje na razie zahamować jedynie Senat. Przygotowywana przez Senat RP ustawa przewiduje całkowity zakaz reklamy wyrobów tytoniowych. Projekt zabrania także palenia - poza specjalnie wydzielonymi pomieszczeniami - w środkach komunikacji, w instytucjach publicznych, szpitalach i szkołach oraz w pokojach, w których pracują niepalący.

Złudne są jednak nadzieje, że samą ustawą zdołamy dogonić Europę, jeśli nie zmieni się sposób myślenia większości palaczy. Na początek - potrzebna jest choćby jedna placówka, która mogłaby skupić wysiłki lobby antynikotynowego, na razie słabego i rozproszonego. Taką placówką mógłby stać się Ośrodek w Łodzi.

Mówi dr Danowski:

- Ośrodek stanowiłby pewne centrum organizacyjne, poprzez które oddziaływałyby na społeczeństwo różne grupy nacisku. Brak takiego ośrodka uniemożliwia nawiązanie pomiędzy nimi efektywnej współpracy. Chodzi np. o działaczy Polskiego Towarzystwa Alergologicznego, Polskiego Towarzystwa Pneumologicznego, Polskiego Związku Zwalczania Chorób Alergicznych, Polskiego Towarzystwa Przeciwytoniowego i innych...

Czy ministerstwo, mające w swym szyldzie wyraz „zdrowie”, zechce to zrozumieć?

Andrzej Gębarowski

Cena i jakość naszym argumentem

**Marbel**  
COTYGDNIOWE DOSTAWY  
KONTENEROWE TOWARÓW Z AZJI  
art. piśmienne  
i firmistwowe  
**HURTOWNIA MARBEL**  
ŁÓDŹ, BRUKOWA 6/8 tel./fax 512795  
tel. 512318 w. 91

WASZYM SUKCESEM ZAKUPY HURTOWE U NAS

Jeszcze w 1895 r. sensacje w Łodzi wywoływał widok mężczyzny w modnym cylindrze na głowie. Jego pojawienie się na ulicy znamiennym bowiem wizyte warszawskiego inteligenta. Taki truteń, obnoszący się ze swoją wyższością, nie był tutaj potrzebny, cenilo się bowiem ludzi uzdolnionych fachowo, a więc buchalterów, komiwojażerów, magazynierów, technicy zaś i inżynierowie byli na wagę złota.

Pierwszy wykwalifikowany łódzki nauczyciel Wiktor Dłużewski, zatrudniony jako polonista w żeńskiej szkole prywatnej, wytrzymał tu osiem lat popadłszy w konflikt z inspektorem oświaty, gdyż odmawiał prowadzenia uczniów do kościoła w dni świąteczne. Władze odepchnęły, gdy wrócił do Warszawy, gdzie liberalne poglądy znajdowały większe zrozumienie. Blisko pięćdziesiąt lat później Zygmunt Bartkiewicz, autor głośnego „Złego miasta”, dziennikarz, prozaik, ale i malarz, musiał jak niepyszny wynieść się z Łodzi, kiedy splajtował jego „Salon artystyczny” zorganizowany dużym nakładem sił, środków i nadziei, że fabryczna osada da się ucivilizować.

Od tamtych czasów odeszliśmy oczywiście bardzo daleko, czy jednak rzeczywiście bezpowrotnie. Upowszechnienie wykształcenia sprawiło, że w przeniesieniu na dzisiejsze stosunki najbardziej szokujące

nymi autorytetami. Odszedł zaś z redakcji, o paradoksie, w imię chrześcijańskiej miłości bliźniego, kiedy się okazało, że w praktyce co innego znaczy powoływać się na wartości Chrystusowe, co innego zaś postępować zgodnie z nimi. Stał bowiem na stanowisku, że system wartości do czegoś zobowiązuje.

Zestawiłem tych kilka obrazków obyczajowych, aby uświadomić, że ustalenie, kto jest prawdziwą elitą współczesnej Łodzi okazuje się niezwykle trudne. Najczęściej, jak w przypadku pana Waldemara Trajdosa, mamy do czynienia z chęcią, które na szczęście łatwo poddać weryfikacji. Inny kandydat na prezydenta Rzeczypospolitej pan Onyszek zajął się organizowaniem w parku julianowskim konkursów rzutu jajami i innymi niezwykłymi rekordami, dzięki czemu zabył może jako polski rejestrator osobliwości, z czym jest mu bardziej do twarzy niż w kostiumie polityka. Bliskie wybory do Zgromadzenia Narodowego zaktywizowały jednak kolejnych przedstawicieli elit, którzy pewnie nie tak łatwo dadzą się posłać do parku albo na zieloną trawkę, co często dałoby wymierną korzyść społeczną.

Słowo elita pochodzi od francuskiego czasownika élire, co znaczy „wybierać”, choć tak naprawdę nikt sobie elit nie wybiera. W czasach komunizmu była przynajmniej prosta: Bolesław Koperski, który poprawiał urbanistów albo dawał rzeźbiarzom propo-

zysnym, gdyż siedział w Workucie i zapisał się do właściwego stowarzyszenia, a obecnie kandyduje na posła. Literatura polska na tym zapewne nie straci, czyż zażyska Sejm, o tym się przekonamy w najbliższej przyszłości.

Zyjemy w takim zawirowaniu, że trudno jest coś rzeczywiście konkretnego powiedzieć nawet na temat czołwki finansowej miasta, choć na ten temat mogłyby coś ujawnić prowadzone rejestry. Niestety, ludzie nie lubią, gdy zagląda im się do portfela. Nieprzejrzystość dochodów, udziały w różnych zakamuflowanych spółkach firmowanych przez żony i krewnych sprawiają, że nawet dane Urzędu Skarbowego okazałyby się nie całkiem ściśle. Rekiny biznesu albo są żądne zaszczyczeń, albo nie potrafią rozdzielić funkcji polityka od przedsiębiorcy. Wszędzie na świecie ludzie z forsą wynajmują sobie polityków, sami zaś w dalszym ciągu zajmują się tym, co potrafią najlepiej: robieniem pieniędzy. U nas nawet Janusz Baranowski, szef preżny „Westy”, ubiega się o mandat.

Kiedy „Dziennik Łódzki”, pod kierownictwem jeszcze Konrada Turowskiego zestawiał listę dziesięciu najbogatszych obywateli miasta, rozległy się natychmiast protesty samych zainteresowanych. Czy był to rezultat przyrodzonej skromności czy raczej dowód braku zaufania do pazernego fiskusa? A może obawa przed żądaniem wspierania inicjatyw społecznych z

**Czy Marek Markiewicz będzie lepszym postem niż radnym?...**

## Nieobecni

Niedługo minie półtora roku pracy Rady Miejskiej w Łodzi. Odbłyły się 22 sesje. Trwały one w sumie 32 dni. Wynika z tego, że średnio jedna sesja Rady Miejskiej trwała 1,5 dnia.

Na tych 22 sesjach największa frekwencja wyniosła 97 procent. Obecnych było 78 osób. Najmniejsza frekwencja – 73,1 procent – 59 osób.

Średnia frekwencja – 84,2 procent – 67 osób. Rekordy nieobecności pobili trzej radni: Jerzy DRYGALSKI, Jacek KWASNIEWSKI, Marek MARKIEWICZ. W 1991 roku Drygałski nie pojawił się w Radzie ani razu, Kwasniewski – dwa razy, Markiewicz – raz. Wszyscy trzej pracują w Warszawie.

Gdyby któryś z wyborców wpadł na pomysł i chciałby o tych trzech radnych odwołać, to informujemy, że jest to niemożliwe. Artykuł 12, ustęp 1. „Ustawy o samorządzie terytorialnym” z 08.03.1990 roku stanowi:

„W sprawach samoopodatkowania mieszkańców na cele publiczne oraz odwołania Rady Gminnej przed upływem kadencji rozstrzyga się wyłącznie w drodze referendum lokalnego”.

Całej Rady Gminnej nikt nie ma zamiaru odwoływać. Natomiast ci radni, którzy z różnych – niewątpliwie dla nich ważnych – powodów nie biorą udziału w pracy Rady Miejskiej sami powinni podjąć stosowne postanowienia. I na przykład zgłosić rezygnację.

B.M.

## Ośmielanie elit

Jeżeli wierzyć temu co mówią na mieście, to ratunku dla kraju spodziewać się możemy jedynie ze strony nowej polskiej klasy średniej. Przyjrzyjmy się zatem tym naszym wybrańcom, zobaczymy czy przypadkiem nie brakuje im czegoś – sprawa jest na tyle poważna, że powinniśmy chuchać na swoich przyszłych zbawców.

Pierwsze co rzuca się w oczy, to to, że nowa klasa jest już bogatsza od reszty. To dobrze. Już jeździ nowymi mercedesami, ale jeszcze na pasach przepuszcza. To źle. Widać nie ma jeszcze tej niezbędnej dynamiki, żeby przejechać. Już wakacje spędza na Karaibach, ale potem mówi znajomym, że to były Międzyzdroje. Tragiczne to konstatacje. Bo i czegoż może spodziewać się naród po zastraszonych kandydatach na zbawców.

Najlepiej by było, żeby za problem wzięła się telewizja. Brakuje mi bowiem programów dopieszczających nową klasę. A choć czasem pokażą jakiegoś nowego w starym pałacu, to wszystko to jakieś takie niewydarzone. A i zdarzają się ciągle jakieś takie audycyjki z lekarzami albo i nauczycielami, co to narzekają i narzekają. A nam trzeba programów jasno wskazujących do kogo ten świat należy. A posadźmy my z jednej strony stołu mazgają profesorka, bidę taką uczoną, a z drugiej rekina nadruków na koszulkach. I pozwólmy młodemu obśmiać, wyszydzić tego mógowca, który do niczego przecież nie doszedł. A redaktor niech nie udaje, że jest neutralny. Redaktorzy muszą wreszcie stanąć po słusznej stronie.

Albo i ostrzej można. Weźmy taki scenariusz. Oto widzimy jak listonosz przynosi zasłużonemu kombatantowi rentę. I w tym momencie facet, co się w rok na suszu grzybowym miliardów dorobił, klepie kombatanta (słusznego) po łysinie. I daje mu melona na piwo. I kamera pokazuje jak kombatant skacze po piwo a resztę ma dla siebie. Przy okazji można by też dołożyć listonoszowi, że za wolno roznosi.

Jak nie to, to może inny scenariusz, proszę bardzo. Ale coś robić trzeba. Żeby nam te nowe elity wreszcie w piórka porośły i pazurów dostały, inaczej znowu wyjdzie z tego lipa i śmiech (gluchy) pokoleń.

Jerzy Hutek

# Poznać miasto po elitach

okazałyby się informacje posiadające odwrotny wektor znaczeniowy. Izrael Poznanski, zapytany przez architekta, w jakim stylu pragnie mieć pałac, wznieiony następnie przy ul. Ogrodowej, odparł zgodnie z duchem epoki, że stać go na wszystkie style, ale już jego syn był polskim literatem i subtelnym znawcą literatury francuskiej. Przedstawiciele finansjery łódzkiej, którzy przy suto zastawionych stołach bawili się niedawno w tymże pałacu, powołali w blasku jupiterów fundację mającą na celu popieranie łódzkiej kultury. Ciekawi mnie bardzo, czy wnieśli następnie kapitał równy choć w przybliżeniu wydatkom na ów szampański ubaw. Z czystej przyjaźni do pana Albina Markiewicza chciałbym wiedzieć, czy ten prominentny przedstawiciel lokalnego biznesu, cieszący się poparciem, przynajmniej do niedawna, wpływowych polityków łódzkich, nie jest przypadkiem konserwem twórczości Fiodora Dostojewskiego albo kolekcjonerem sztuchów Bruno Schulza. Warto zatrudnić tabun reporterów, aby mogli donosić swoim czytelnikom, że ten niedoszły magnat prasowy (ubiegał się o nabycie dwóch łódzkich gazet) i były prezes „Anilany” w zaciszu domowego ogniska, zdjąwszy z rąk złote bransolety, którymi epatuje robiących mu publicity dziennikarzy sportowych, tłumaczy potajemnie na polski esej Alberta Camusa.

Niestety, rubryki towarzyskie nie przynoszą wiadomości równie sensacyjnych i niezwykłych. Z faktu, że poseł Stefan Niesiołowski jeździ na rowerze nie da się wyciągnąć wniosku, że zalicza się do elity cyklistów w Łodzi, ani tym bardziej, że dla znacznego odłamu społeczeństwa stanowi nie kwestionowany autorytet moralny choć pełno go w Sejmie, w telewizorze i w prasie. Obsesyjna niechęć Mieczysława F. Rakowskiego do Grzegorza Palki ułatwiła temu ostatniemu niewątpliwie ubieganie się o fotel solidarnościowego prezydenta Łodzi. Czy znaczy to jednak, że odciążają dzisiaj kupony od tej niechęci dygnitarz był rzeczywiście takim demonem opozycji, za jakiego pragnie uchodzić?

Pytania takie można mnożyć. Czy Marian Papis, długoletni dziennikarz „Paxu”, obecnie zastępca naczelnego redaktora w „Głosie Porannym” posiada lepsze kwalifikacje na to stanowisko z racji częstych wizyt w Kurii Biskupiej niż Zdzisław Szczepaniak, który nie był skory do zginania karku przed usłowo-

zycję nie do odrzucenia miał prawo uważać się za pomazańca, bo na skinienie miał legion gorliwców, potakujących każdemu słowu towarzysza sekretarza. Tadeusz Czechowicz, choć także sekretarz, a nawet członek politbiura, nie miał już takiej pewności siebie, choć wiele znaczących postaci Łodzi dbało, aby nie miał złego samopoczucia: w dniu jego imienin przed gabinetem ustawiała się długa kolejka hołdowników z wiązkami kwiatów. Nie wiem, czy te praktyki przetrwały reżim, choć nie wątpię, że i teraz znalazłyby się chętni do noszenia storczyków lub hiacyntów nowej władzy.

Swego czasu za ważne w Łodzi uchodziło tylko to, co zaszczylił swoją obecnością I sekretarz, wszystko zaś musiało mieć komitecką akceptację. Outsiderzy w rodzaju Antoniego Szrama czy Ryszarda Stanisławskiego, dyrektorzy teatrów, którym udało się niekiedy przechrzcić politycznych kontrolerów, byli ledwie tolerowani i wiecznie mieli kłopoty. Nie zapraszano ich też na trybunę pierwszomajową, dzięki której szary obywatel mógł się dowiedzieć, kto jest aktualnie zaliczany do elity, a kto wypadł już z oficjalnego obiegu.

Tej instytucji trybuny pierwszomajowej, o wiele bardziej niż samych pochodów, ogromnie mi żal w dzisiejszych, pluralistycznych czasach. Czy wystawa artysty, której nie zaszczylił swoją obecnością łódzki biskup coś znaczy w życiu współczesnej Łodzi, jeżeli na dodatek nie pojawił się na niej, mimo zaproszenia, proboszcz z miejscowej parafii, nieoczekiwanie natomiast przybył wiceprezydent Michaluk. Co sądzić o takim artyście? Może popiera go tylko KPN i to nie tyle jako twórca, co jako sojusznika tej partii, zaś magistrat, gdzie ma przewagę ZChN olewa wybrańca muz i życia mu jak najgorzej. Nie przypadkowo chyba poniechano przyznawania nagród miejskich, aby uniknąć gorszących posądzeń albo kłopotliwych wyborów.

Mamy kłopoty nie tylko z hierarchią artystyczną, choćby nawet skupioną w słusznych i popieranym związkach, co oczywiście od razu daje handicap. Jak wiadomo związki twórcze niesłusznie skupiają złodziei społecznego mienia należącego się artystom słusznym i dlatego taka Wanda Karczewska, która zapisała się do ZLP nigdy nie będzie mogła już konkurować z Jerzym Urbankiewiczem, pisarzem w dwójnasób

własnej, niezbyt przepastnej kieszeni? Nie każdy ma bowiem takie szczęście, jak także zabiegający o miejsce w Zgromadzeniu Narodowym Andrzej Słowik, aby pieniądza na żoźny cel wyjąć z państwowej kieszy rozliczając władze za doznane krzywdy. Los wielu słusznym w założeniach fundacji dowodzi, że albo łódzkie elity finansowe niezbyt wysoko plasują się na krajowej mapie biznesu i tak naprawdę to ledwie wiążą koniec z końcem, albo też zupełnie zobojętniały na sprawy prestiżu miasta, nie wyłączając własnego.

Wielu z tych, którzy wspinają się dziś na szczyty drabiny społecznej, wykorzystując sprzyjającą koniunkturę, najzupełniej obca jest zapewne teoria krążąca elit, sformułowana przez włoskiego socjologa Vilfreda Parete. Co gorsza, a to już niewybaczalne, o jej tezach nie pamiętają także intelektualści, którzy zdają się być nieco zaskoczeni rozwojem wydarzeń. Są zdziwieni, że świat biznesu i polityki doskonale radzi sobie bez nich. A już się zdawało, że jesteśmy w domu.

Czy kondycja Polski byłaby jednak lepsza, gdyby prezydent Lech Wałęsa zamiast grać w ping-ponga osiągnął mistrzostwo w ustnej harmonijce. Byłoby nam zapewne weselej, to pewne, gdybyśmy mogli z Belwederu posłuchać transmisji muzycznych z udziałem prezydenta i Piotra Szczepanika. Ale taki Ignacy Paderewski był pianistą-wirtuozem, cenionym na całym świecie, a mimo to z punktu widzenia interesów Polski Kongres Wersalski po I wojnie światowej przyniósł naszemu krajowi same właściwie klęski. Kto inny tam bowiem grał pierwsze skrzypce, podobnie jak później w Jalcie i Poczdamie.

Ale z punktu widzenia dalekosiężnych interesów, elity, zwłaszcza intelektualne, są potrzebne, szczególnie gdy trzeba oszczędzać Żydów i cyklistów. Zawsze można powiedzieć: tak doradzałicie, wam zawdzięczamy to bagno. Dlatego warto umiarkowaniełożyć na szkolnictwo wyższe, galerie, muzea i teatry. Przy niewielkich kosztach jest szansa, że jakiś zdolny i ambitny człowiek wyróżni się na Balcerowicza i będzie go można nazwać w razie potrzeby doktorem Mengele krajowej ekonomii.

Konrad Frejdllich

# Nie mów hop...

W odróżnieniu od polskich biskupów, którzy są przekonani o sile oddziaływania werbalnego, jak świadczy o tym jeden z ich ostatnich listów pasterskich poświęcony środkom masowego przekazu, nie wierzę w moc słowa przerażającego „zjadaczy chleba” w anioły. Jeśli słowem nie towarzyszą realne fakty w życiu społecznym, to ich efekty są nader ograniczone, choćby nie wiem jak pięknie słowa były wypowiedziane. Zauważyli to już starożytni, że słowa uczą, ale przykłady pociągają i że często ludzie posługujący się słowem znajdują się w sytuacji dziada, który chciał porozmawiać z obrazem.

A zatem mając w pełni świadomość ograniczonych możliwości słowa, pozwalam sobie poddać pod rozwagę kilka faktów, zresztą dość przypadkowo wybranych – każdy może znaleźć ich wiele – które ukazują występowanie pewnej interesującej prawidłowości. Oto na przykład w ubiegłym roku, a i w bieżącym także, wielu polityków, publicystów i ludzi interesujących się wydarzeniami w świecie deklarowało swoje ufne i niczym nie ograniczone poparcie dla Litwinów wybijających się na niepodległość. Chwilami była nawet euforia, bo przecież wydawało się, że rozsadzając od wewnątrz ówczesne państwo radzieckie, Sąjdis na czele z Landsbergiem i wszystkie inne nacjonalistyczne siły litewskie, są plastrzem miodu dla naszego, polskiego interesu narodowego i państwowego. Ba, całkiem niedawno pewien tyłek krewki, co chyba także bezmyślny dziennikarz, w telewizji oskarżał władzę

polskie, że ociągają się z oficjalnym uznaniem Litwy i dały się wyprzedzić Islandii, Niemcom i innym państwom w pośpiesznym wysyłaniu do Wilna (przepraszam: do Wilniusa, bo tak to miasto się nazywa po litewsku) ambasadorów.

Ostatnie tygodnie pokazują, że stare fobie i kompleksy litewskie odzyskują i odbijają się one na Polakach mieszkających na Litwie, którzy, jak twierdzi władze litewskie, są spolonizowanymi Litwinami, i których należy relituinizować. Oznacza to ograniczenie praw obywatelskich i narodową dyskryminację Polaków, zepchnięcie ich do roli obywateli drugiej kategorii i zastosowanie wobec nich odpowiedzialności zbiorowej – są winni, bo jakoby poparli komunistyczny pucz w Moskwie. Kilka miesięcy temu łódzka Rada Miejska przekazywała dary dla Litwy, zawarła umowę o ściślejszej współpracy ze stolicą państwa litewskiego Wilniusem. Dziś można zapytać – czy ci, którzy tak gorliwie i bez jakichkolwiek zastrzeżeń fraternizowali się z Litwinami, choć przez chwilę wyobrażali sobie tę sytuację jako obecnie jest na Litwie, czy starczyło wyobraźni, aby przewidzieć wszystkie możliwe warianty rozwoju wydarzeń, również te, które dziś stają się faktami dokonanymi?

Oficjalne prognozy dotyczące bezrobocia w Polsce mówią, że wkrótce będzie 2,8 miliona ludzi bez pracy. Myślę, że ogromna większość tych, którzy nie z własnej woli i winy utracili lub utracą niebawem pracę, szczerze chciałaby nowej, innej Polski. Czynnicy – uczestnicząc w strajkach, należąc do „Solidarności”, głosząc przeciwko realnemu socja-

lizmowi – przyczynili się do powstania nowego porządku politycznego i gospodarczego. Ale ten porządek przyniósł im brak pracy, pauperyzację oraz ograniczenie szans życiowych. Czy przewidywali taki rozwój wydarzeń? Legendarny człowiek solidarnościowego podziemia Zbigniew Bujak publicznie przeprosił za „Solidarność”, której komisje zakładowe gładko weszły w rolę dawnych partyjnych komitetów zakładowych i pełnią ich funkcje, a dla aktywistów stały się trampoliną do karier politycznych i administracyjnych. Czy można było przewidzieć taki rozwój wydarzeń? Czy emocje nie przesłoniły racjonalnych obaw, że może wydarzyć się to, co obserwujemy każdego dnia?

Nie tak dawno liczne grono znanych polskich aktorów występowało w telewizyjnym serialu „nie stój, nie czekaj”, w którym bądź to wygłaszając poetyckie fragmenty swych ról teatralnych, bądź to mówiąc „od siebie”, zachęcali wszystkich do ofiarności i popierania nowej Polski, która jakoby zaczęła się 4 czerwca 1989 r. Dziś, gdy ze smutkiem obserwuję klęskę, jaką ponosi polska kultura, wcześniej subwencjonowana przez niesłuszne politycznie państwo i gdy, jak słyszę, wiceprezydent Łodzi publicznie wypowiada się, że aktorzy powinni się przekwalifikować i zostać na przykład kelnerami, to zastanawiam się dlaczego artyści okazali się ludźmi tak naiwnymi, bez wyobraźni i umiejętności przewidywania różnych sytuacji w przyszłości. Także i takie, że zamiast braw widowni usłysza – „panie Hamlet, wódeczkę i kotlet z kapusta!”

Z przytoczonych faktów, jak sądzę, wynika pewna poprawka do porzekadła: nie mów hop, póki nie przeskoczysz, ale jak już nawet przeskoczysz, to też nie mów hop, tylko zobacz w co wskoczyłeś.

Jan Wolborski

## PREZENTACJE

## Lucyna Skompaska



Urodziła się w Łodzi na Chojnach, w tej części rozległej dzielnicy, którą do dziś zwie się Zatorzem. Wtedy, na początku lat pięćdziesiątych, leżała daleko od śródmieścia.

Podstawowym środkiem lokomocji był tutaj rower. Ojciec Lucyny Skompaskiej, Tadeusz, ślusarz z talentem konstruktora, sam robił rowery dla całej rodziny. Jako dziewczynka miała więc trójkołowy wehikuł, potem przesiadła się na większy. Ale najbardziej utkwił jej w pamięci ten pierwszy: w 1952 r. wygrała wyścig trzylatków i jej zdjęcie znalazło się w „Głosie Robotniczym”. Do dziś przechowuje egzemplarz tej gazety.

Dzieciństwo powróciło w książce „Wakacje na Guziku”.

Uczęszczała do XVI LO im. Sienkiewicza, które miało opinię chyba najgorszego w Łodzi. Nie wie, czy zastużoną, chociaż młodzież często wagarowała. Okolice stawów Jana mają urokliwe miejsca, piękno przyrody wynagradza tu brzydotę podmiejskich domków. Wagary sprzyjały kontemplacji, ale Lucyna Skompaska już w szkole podstawowej zaczęła pisywać wiersze. W X klasie, licealnej, uzyskiwała nawet dość znaczącą nagrodę poetycką i jej zdjęcie znowu pojawiło się w gazecie. Przez pewien czas

jej nauczycielem był Andrzej Biskupski, głośny dziś krytyk i poeta, redaktor Wydawnictwa Łódzkiego. Wykładał fizykę i może dlatego nie zakochała się w nim, jak inne koleżanki. Chociaż jednym z jej najlepszych wierszy tego okresu był erotyk, piód wyobraźni, nie doświadczenia.

Andrzej Biskupski faworyzował ją zresztą, na lekcjach fizyki miała przywileje. Nie musiała wykonywać na pamięć budowy prasy hydraulicznej, na oczach profesora przeglądała prasę literacką i jakoś jej to uchodziło.

Pierwszym utworem, który opublikowała było „Zdjęcie rodzinne z lat trzydziestych” pomieszczone w „Dzienniku Łódzkim”, ale za swój właściwy debiut uważa cykl wierszy ogłoszonych w „Twórczości”. Była już wtedy studentką filologii na UŁ, zakochaną w Janie Czarnym, starszym od niej o blisko trzydzieści lat poecie, fraszkopisie, prozaiku i malarzu o bardzo ukształtowanej osobowości. Została później jego żoną, byli ze sobą osiemnaście lat, aż do jego przedwczesnej śmierci.

Jan Czarny całe życie równolegle malował, zostały po nim ciekawe zbiory miniatur i obrazów, ale wystawiać ich nie chciał i dopiero niedawno w Teatrze Studyjnym mogła zorganizować niewielką ekspozycję tych prac.

Związana osobistym węzłem z artystą nie przestała być poetką. W 1974 r. ukazał się jej debiutancki tomik „Miłość śmierć totalizator sportowy” wydany jako suplement do „Nowego Wyrazu”. Opublikowała także tomy „Dopóki płonie” oraz „Bez powodu” w prestiżowych, warszawskich wydawnictwach. Później równolegle zaczęła również uprawiać twórczość dla dzieci.

W latach siedemdziesiątych, kiedy należała do Koła Młodych ZLP, została na krótko członkiem zarządu tego koła, ale wybory, z inicjatywą KŁ PZPR unieważniono, gdyż przewagę zdobyli młodzi opozycjoniści spod znaku KORu, z którymi sympatyzowała.

Pod koniec lat osiemdziesiątych musiała nieoczekiwanie dla siebie przejąć prezesurę oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich. Wbrew wszelkiej logice, gdyż dzisiaj ta funkcja przynosi tylko kłopoty.

Jeden z pisarzy, który zajmował się astrologią wyjawiał jej, że magicznym kolorem w jej życiu jest czerni, zwłaszcza czarne perły. Prócz tego znaczącą rolę ma grać chalcedon.

Niestety, Lucyna Skompaskiej nie stać na czarne perły, pracuje w Muzeum Historii Miasta Łodzi – sfera budżetowa. Nie stać jej także na samochód. Pozostała do dziś wierna rowerowi. I nawet przesiadła się ze składaka na turystyczną „Laure” produkcji krajowej.

K.F.

W nowym roku akademickim pierwszy rok studiów w ponad 90 uczelniach w naszym kraju rozpoczęło około 70 tys. studentów. Najwięcej na uniwersytetach, najmniej w uczelniach ekonomicznych, rolniczych i pedagogicznych.

Zdaniem podsekretarza w MEN Romana Dudy w Polsce obserwuje się „spadek ambicji edukacyjnych społeczeństwa. W przeliczeniu na 10 tys. mieszkańców studiuje u nas zaledwie 90 osób, w USA 5122”.

Łódzkie uczelnie przyjęły w tym roku na pierwszy rok studiów ponad 5 tys. osób, wykorzystując wszystkie miejsca. Jak zawsze, na większości kierunków, kandydatów było znacznie więcej niż miejsc. Na Wydziale Lekarskim o jedno miejsce ubiegały się 3 osoby, na stomatologii – 1,8 osoby, na Wydziale Mechanicznym PŁ – 2, na Wydziale Organizacji i Zarządzania PŁ – 4,4, na Inżynierii Chemicznej – 3, na Psychologii i Pedagogice UŁ – 4 osoby.

Pęd do wiedzy, a właściwie pęd do studiowania – wbrew temu co twierdzi MEN – jak każdego roku był duży. Poszczególne uczelnie wprowadziły limity przyjęć.

Lepiej być studentem niż poborowym, albo bezrobotnym

## Młodość w poczekalni

Generalnie nie zmieniły się także powody, dla których młodzi ludzie idą na studia. U większości jest to konsekwencja wcześniejszej decyzji o kontynuowaniu nauki po ukończeniu szkoły podstawowej w Liceum Ogólnokształcącym, które daje ogólne wykształcenie, natomiast nie przygotowuje do tzw. „zycia”. Duża część osób uważa także, że „papierek” o ukończeniu studiów może się im jeszcze przydać. Inni są zdania, że dzięki niemu wzrośnie ich prestiż w społeczeństwie. Nadal młodzi mężczyźni idą na studia, aby uciec przed wojskiem. Natomiast wszyscy chcą w ten sposób przedłużyć sobie młodość.

**Magda – studentka I roku Wydziału Lekarskiego.**

– Nie chcę się silić na wielkie słowa o powołaniu itd. choć prawdą jest, że o wykonywaniu zawodu lekarza marzyłam od dziecka, z pewnością pod wpływem mamy, która jest lekarzem. Poza tym uważam, że jest to zawód, który sprawdza się w każdym systemie i warunkach. Sądzę też, że sytuacja w jakiej znajdują się obecnie lekarze ulegnie poprawie i oprócz zadowolenia moralnego zawód ten da także satysfakcję finansową.

**Anna – Marketing, UŁ.**

– Rozpoczęcie przeze mnie studiów jest konsekwencją decyzji, jaką wspólnie z rodzicami podjęłam po skończeniu szkoły podstawowej, tzn. o kontynuowaniu nauki w Liceum Ogólnokształcącym. Liceum nie przygotowało mnie do wykonywania żadnego zawodu. Myślę, że Marketing, który wybrałam obecnie ma perspektywy. Zmiany jakie zachodzą w naszej gospodarce dają możliwości właśnie takim specjalistom.

**Tomek – Wydział Prawa.**

– Nie myślę o przyszłości, przede wszystkim chcę uciec przed wojskiem, a także przedłużyć sobie młodość, znaleźć dobre towarzystwo. Dokonując wyboru kierunku rozważałem oczywiście między tymi, które mają jakieś perspektywy.

**Janusz – Marketing.**

– Kiedyś jakiś mądry człowiek powiedział, że pieniądze leżą na ulicy, trzeba tylko umieć je zbierać. Wybrałem ten kierunek studiów, aby się tego nauczyć. Nie chcę żyć od pierwszego do pierwszego, natomiast robienie gesztów – bo tylko to mógłbym robić po liceum – możliwe jest jedynie na krótką metę.

**Sebastian – Filologia Polska.**

– Lubie się uczyć, lubię język polski. To

wszystko. Co będzie dalej – czas pokaże.

**Piotr – Wydział Chemii, PŁ.**

– Wybrałem ten kierunek studiów dość przypadkowo. Zdawałem na medycynę i nie dostałem się. Miałem do wyboru studia na innym kierunku, szukanie pracy przy dużym prawdopodobieństwie, że jej obecnie nie znajdę, bez prawa do pobierania zasiłku. Wybrałem studia, aby uciec przed wojskiem i bezrobociem. Być może w przyszłym roku zrobię jeszcze jedno podejście na medycynę.

**Michał – Kulturoznawstwo, UŁ.**

– Kulturoznawstwo traktuję jako kolejny stopień w mojej edukacji. W przyszłości chcę zdawać na reżyserię.

**Katarzyna – Filologia Rosyjska, UŁ.**

– Studia dają po pierwsze możliwość wewnętrznej rozwoju, a po drugie prestiż. Niektórzy twierdzą, że kierunek, który wybrałam przeżył się. Jestem innego zdania. Obserwuję to, co choćby dzieje się w gospodarce. Obecnie w kontaktach ze Związkiem Radzieckim nastąpiła pewna stagnacja, ale z pewnością ulegnie to zmianie. Cały czas różne firmy próbują wejść na tamten rynek. Jest ich coraz więcej i mam nadzieję, że potrzebni im będą tłumacze.

W czasie inauguracji nowego roku akademickiego na AM rektor uczelni prof. Jan Berger pogratulował nowo upieczonym studentom „pomyślnie zdanego egzaminu i decyzji jaką podjęli ci młodzi ludzie, w tak trudnej sytuacji społecznej i ekonomicznej”. Przy ciągle zmniejszających się dochodach, podjęciu decyzji o kontynuowaniu studiów należałoby pogratulować raczej rodzicom niż ich pociechom.

Faktem jest, że gros osób zdających w tym roku na studia uciekało przed perspektywą braku pracy. Tym bardziej że absolutem Liceów Ogólnokształcących nie przysługuje zasiłek dla bezrobotnych. Niestety już jako studenci także nie mogą liczyć na pomoc materialną ze strony państwa.

W łódzkich uczelniach, większa część pieniędzy przyznanych na ten cel została rozdzielona w ostatnim semestrze. W najtrudniejszej sytuacji są studenci UŁ, którzy nie będą otrzymywać stypendiów socjalnych, zawieszonych decyzją Uczelnianej Komisji Pomocy Socjalnej dla Studentów aż do odwołania. Na PŁ stypendia socjalne utrzymano, ale przy niezmienionej podstawie naliczania 837 tys. zł. Studenci z rodzin, w których dochód na jednego członka rodziny wynosi 595 tys. zł otrzymują 242 tys. zł. We wszystkich uczelniach będzie się natomiast premiować za dobrą naukę, co studentów pierwszego roku dotyczy będzie dopiero za rok.

Co czeka ich natomiast po skończeniu studiów?

Obecnie w Wojewódzkim Biurze Pracy zarejestrowanych jest 197 absolwentów szkół wyższych, w tym 54 absolwentów AM, 11 – Wychowania Fizycznego, 10 – Akademii Muzycznej, 12 – Farmacji. Jaki jest faktycznie stan bezrobocia wśród absolwentów szkół wyższych – nie wiadomo. Statystyki obniżają nieco organizowane przez Biuro Pełnomocnika ds. Zatrudnienia Absolwentów „prace interwencyjne”. Odmówienie podjęcia takiej pracy równoznaczne jest z pozabawieniem się prawa do pobierania zasiłku.

Ponieważ status studenta jest jednak nadal lepszy od statusu bezrobotnego, wielu studentów przedłuża studia. Na 1252 osoby, które powinny w tym roku ukończyć UŁ obroniło pracę dyplomową 625, na PŁ na 795 osób zaledwie 121.

Beata Kostrzevska



## Kompleks nerki

Przeróżne Organa, które wybrał mi Naród przeżywają, albo wkrótce będą przezywać „kompleks nerki”.

Nerka, to narząd ze wszech miar potrzebny, niezbędny w organizmie. Jednakowoż pod warunkiem, że znalazł się tam w sposób naturalny, wynikający z ewolucji, rekomendowany przez Matkę Naturę. Próby przeszczepu Medycyna zawsze poczyta sobie za sukces. Faktyczny (choć jednorazowy) w przypadku wyniku pozytywnego. Poznawczy, naukowy – w przypadku negatywnego wyniku. Stąd owe „rozterki nerki”. Oczywiście dotyczy to jedynie przypadku jakże wyabstrahowanego i jakże poetyckiego, to znaczy, kiedy nerka myśli, czuje, przeżywa. Wybierając do moich medyczo-egzystencjalnych rozważań ten położony w dość niskich partiach organizmu narząd, nie chciałem Nikogo obrazić. Wręcz przeciwnie, wiem, że sukcesy Medycyny w dziedzinie przeszczepów są tym mniejsze, im bardziej mają miejsce od pasa w górę. Aby do końca oczyścić się z zatrutego: „świadomego i jawnego upoetyczniania narządów” chciałbym się przyznać, że owe „rozterki nerki” również i mnie dotyczą.

Ja, cóż ja – ot jakaś żyłka 0,0001 mm w wielkim krwiobiegu, jakieś naczynie włoskowate, czy inny „dendryt”, za przeproszeniem. Ja co prawda znalazłem się tu nie z przeszczepu, ja tu byłem i jestem. Mało tego, ja nie mam ambicji bycia Aortą, Tętnicą. Ja nie chcę do CUN (Centralny Układ Nerwowy). Ja chcę żyć. Zabiegi medyczne tego nie gwarantują. Nie interesują mnie sukcesy „poznawcze” Wielkiej Medycyny. Ja co do wspomnianego wyżej życia – chcę mieć pewność. I wiem, że to moje „chcę” brzmi dziwnie przy wzroście 0,0001 mm.

Słyszałem, że są takie teorie, a nawet i praktyki, że organizm jest w stanie wyleczyć się sam. I ja w to wierzę, choćby nie wiem

jakim zabobonem trąciła owa teoria. Jest to o tyle naturalne, że jak świat światem, zawsze tak postępował Matuszek, gdy przychodziła kryśka.

\* \* \*

Komuna poza wszystkimi diabelskimi sztuczkami miała jeden niebezpieczny wynalazek. Miała maszynę do robienia śniegu. Potrafiła wszystko przyprószyć, okryć białą czapą, „puchowym śniegu trenem”. Dawało to wrażenie wyrazistości obrazu, ciszy, spokoju, czasem nawet bezpieczeństwa. Nie w kategoriach fizycznych, a w kategoriach moralnych. Wiadomo było, że zło jest jawne, dobro – tajne. Wiedziało się to i wiedziało się, że czapa śnieżna jest chwilowa. Że przyjdzie Wielka Wiosna.

Przyszły Wielkie Roztopy. Dziś po wielkich roztopach poupadały jeden po drugim autorytety, domniemane mądrości, tajne idee.

Zabiegi przedwyborcze przypominają zawody kółka wędkarskiego nad zadbany, dokarmionym stawem rybnym.

Wybór między zaproszeniem na Wyprawę Krzyżową Dookoła Polski, a zaproszeniem na Wielki Bal Pokutników interesuje mnie o tyle, że zauważyłem, że myślę. Że znowu muszę pouklądać swój świat, że znowu muszę wybrać swoje „raz”. Nie na użytek wymienionych organizacji, ale na swój prywatny użytek. Bo jeśli chodzi o te zaproszenia i kilka innych, to dziękuję. Posiedzę w domu. Posiedzę i pomyślę. I żeby nie wiem co się dalej działo, to to myślenie będę uważał za niewątpliwie, a nie wiem, czy nie jedyne – dobro wynikające z Miłościwie Panujących nam Czasów.

Andrzej Poniedziałki

## Wojewodę rozrobiono podczas jego nieobecności

## Z sondy ulicznej:

– Wotum nieufności dla wojewody? Nawet nie wiem, jak on się nazywa...

– Nie będzie ten, będzie inny. Co za różnica? Jest źle, będzie jeszcze gorzej.

– Oni się teraz sami nawzajem pozagryzają. Wystarczy pooglądać ten wyborczy cyrk w telewizji, to co się dziwić, że i u nas też jest cyrk!

– Ze wojewodę chcą wywalić? A czy on, jak go wywalił, pójdzie tak jak ja na zasitek dla bezrobotnych? Dlaczego się takim zajmujecie, który i tak zawsze będzie miał co jeść? O mnie napiszcie, o zwykłym robolu, a nie o faciezie z elity.

Robol pracował w hucie „Hortensja”. Już nie pracuje. Robol wyciąga zza pazuchy pomiętą gazetę. Bo inni robole napisali do prezydenta:

„Jako oddani jeszcze sprawom „Solidarności” żądamy aby Pan Prezydent Rzeczypospolitej, abyś Ty, Lechu przyjechał i spojrzal nam w oczy. Będziemy rozmawiać. Obiecałeś jako prezydent-elekt, że będziesz wszędzie, gdzie Cię zaproszą. Zapraszamy do hut. Bez samolotu, ekskluzywnych samochodów, bez obstawy, przyjeżdż z potową pensji hutnika w kieszeni, przyjeżdż pociągiem z Warszawy do Piotrkowa. Sama podróż w przedziale II klasy pokaże Ci Twoje błędy, Panie Prezydencie”.

List piotrkowskich hutników podpisał przewodniczący Krajowej Sekcji Przemysłu Szkłarskiego NSZZ „S”, Andrzej Świstak.

## Z rozmowy z rzecznikiem prasowym Sejmiku Samorządowego Województwa Piotrkowskiego:

„W naszym województwie nie ma za dużo polityki. Sejmik też jest, moim zdaniem, apolityczny. Nie uważam, aby wyrażone wotum nieufności wojewodzie Andrzejowi Szczepockiemu, można było wiązać z atakiem na partię, którą prezentuje, czyli na PSL”.

## Obecny wojewoda

mgr. inż. rolnictwa **Andrzej Szczepocki**, były delegat na Sejmik z gminy Kleszczów, objął swoje stanowisko rok temu, we wrześniu. Jego poprzednik, **Mieczysław Szulc**, musiał ustąpić po wotum nieufności, wyrażonym przez tenże Sejmik. Co było zresztą do przewidzenia, ponieważ na wojewodzie Szulcu ciążyła pezetpeerowska przeszłość. Był sekretarzem KW PZPR. Przejęcie schedy po Szulcu nie było jednak takie proste. Głównym konkurentem obecnego wojewody był bowiem poseł, **Stanisław Jasiński**, który na Sejmiku opiniującym kandydatury otrzymał dwukrotnie więcej głosów od Szczepockiego. Ale ówczesny premier, **Tadeusz Mazowiecki**, mianował właśnie Szczepockiego. Dla niektórych jeszcze i dziś jest oczywiste, że premier wybrał między kompetencjami wójta, a doświadczeniem wieloletniego pracownika administracji państwowej.

## Pierwszą próbę „przewrotu”

Sejmik podjął 10 maja br.: „mając na względzie całokształt Jego (wojewody) działalności”. W obszernym uzasadnieniu uchwały nr. IX/91 pada pod adresem wojewody Szczepockiego wiele zarzutów: zaległości finansowe wobec gmin, kryteriów rozdziału budżetu, nikłego postępu prac związanych z komunalizacją wodociągów oraz funkcjonowania rejonowych urzędów administracji rządowej i służby zdrowia w województwie. Sejmik negatywnie ocenił niekompetencję i brak etyki zawodowej niektórych urzędników przyjętych do pracy w administracji państwowej. Bardzo ostro wystąpił też przeciwko decyzji wojewody, zgodnie z którą, od pierwszego maja br., finansowanie służby zdrowia albo spadłoby na barki gmin, albo placówki służby zdrowia uległyby likwidacji. Jaskrawym przykładem takich rozwiązań były podjęte 10 kwietnia br. postanowienia w sprawie zamknięcia pawilonu zakaźnego Szpitala – Sanatorium Kardiologicznego w Hucie Dłutowskiej i Ośrodka Leczenia Odwykowego w Zabłotach oraz zamknięcie dwóch oddziałów pulmonologicznych i oddziału chirurgicznego w Specjalistycznym ZOZ Gruzlicy i Chorób Płuc w Tuszynie. Tego typu działania wojewoda podejmował bez konsultacji z samorządami gmin.

Ostatni zarzut Sejmiku dotyczył reprezentowania przez wojewodę województwa na zewnątrz. Chodziło o to, że Szczepocki podpisał w Warszawie wspólne z innymi wojewodami porozumienie w „sprawach ekologii, komunalizacji, promocji gospodarczych, przekształceń własnościowych i polityki zatrudnienia” – bez „jakiegokolwiek konsultacji z samorządami i Sejmikiem”.

Wniosek Prezydium Sejmiku o wotum nieufności dla wojewody nie przeszedł. Delegaci odrzucili go stosunkiem głosów 30 do 20.

## Z rozmowy z sekretarzem Zarządu Regionalnego NSZZ Solidarność woj. piotrkowskiego, Jerzym Markiewiczem:

Zarząd też miał swoje zarzuty wobec wojewody. Domagał się od niego szczegółowego raportu o stanie województwa, w którym rosło bezrobocie, nie widać było restrukturyzacji przemysłu ani innych pozytywnych działań. 22 maja, podczas ogólnopolskiej akcji protestacyjnej, która zakończyła się pod Urzędem Wojewódzkim „Solidarność” wręczyła wojewodzie petycję, wyrażającą własne stanowisko w palących dla regionu kwestiach oraz

o poparcie dla listu wycofano. Wobec tego padł kolejny wniosek: o wyrażenie wojewodzie wotum nieufności. Wniosek zgłosił burmistrz Tuszyna, **Eugeniusz Waszkiewicz**. Listę zarzutów powiększono o: brak działań w sprawie komunalizacji mienia państwowego oraz przekształceń zakładów, dla których organem założycielskim jest wojewoda; zaniedbanie w oświacie i bodaj najbardziej wazący na głosowaniu fakt, że wojewoda dalej zalega z przekazywaniem pieniędzy, należącym się gminom. Stosunkiem głosów 22 do 19 wotum nieufności uchwalono.

## Z rozmowy z rzecznikiem prasowym Sejmiku:

Głosowanie było tajne. Tak jak na majowej sesji, na której po raz pierwszy zgłoszono

jest wiceprezesem tego zrzeszenia, to sprawa wydała mi się podejrzana. Na marcowej sesji poprosiłam przewodniczącego o wyjaśnienia, od których on się uchylił. Wobec tego powołałam specjalną komisję, w skład której i ja weszłam. Kiedy zaczęliśmy sprawę badać, okazało się, że tydzień wcześniej w sprawie wkroczyła już Prokuratura Wojewódzka. Okazało się również, że członkiem komisji, powołanej przez przewodniczącego RM i Zarząd Miasta w sierpniu ubiegłego roku do przydziału koncesji na sprzedaż alkoholu wszedł także... pan R.? Naczelny Sąd Administracyjny uchylił już kilka koncesji jako przydzielonych niezgodnie z prawem. Kilka następnych jest badane.”

## Z wiarygodnego źródła:

Piastującego wysokie stanowisko we władzach miejskich, podczas jego pobytu w szpitalu, zagadnął inny pacjent: – Mam zezwolenie na sprzedaż piwa, które mnie kosztowało pięć milionów, ale ciągle nie mogę się dowiedzieć, ile muszę dać, żeby otrzymać koncesję na wódkę. Czy w dalszym ciągu jest aktualna cena 10 mln czy już trzeba więcej?”

## Z wiarygodnego źródła:

Nastroje wśród mieszkańców piotrkowskiego są złe. Sfrustrowani ludzie boją się jutra, ale przyglądają się swojej władzy. Jej wewnętrznym kłótniom, jej arogancji, czasem i nieuczciwości. Toteż przeciętny obywatel jest apolityczny. Czy pójdzie do wyborów, trudno przewidzieć, tym bardziej że o niektórych kandydatach wie więcej niż to wynika z oficjalnych charakterystyk wyborczych. Bo w takich miastach, bez obrazu dla Piotrkowa, wiadomości szybko się rozchodzą. A w gminach jeszcze szybciej. O jednym bogatym kandydacie wiadomo, że się uchyła od płacenia podatków, o innym, że prawo dla niego znaczy niewiele, choć na co dzień z racji zajmowanego stanowiska prawem powinien się kierować, jeszcze dla brutalnie traktuje własne dzieci. Czy partie takie jak KPN, PC lub te działające pod hasłami chrześcijańskimi i narodowymi – najbardziej dziś widoczne i hałaśliwe – mają szansę u wyborców? Kto wie. Faktem jest jednak, że od kilku tygodni trwa już w kościołach niedzielna kampania wyborcza, w której zaleca się wiernym głosowanie na kandydatów ZChN.

## Mówi radna Elżbieta Keller-Barabasz:

„Wstrząsnęła mną ostatnia dyskusja nad przyszłością ostatnich w Piotrkowie trzech świetlic środowiskowych dla dzieci, prowadzonych przez TPD. TPD jest biedne, świetlice wspierane są z budżetu miasta niewielkimi sumami. Świetlice organizują zajęcia dla dzieci z rodzin najbardziej potrzebujących lub kryminalnych. Dają im również kanapkę na podwieczorek. I w sprawie tej kanapki jedna z pań zabrała głos: – Z jakiej racji mamy darmo karmić dzieci ludzi, którzy przecież są na zasiłku! Po czym uchwalono, że do TPD-owskich świetlic pójdzie kontrola, czy względem tych kanapek nie robią nadużyć”.

## Z wiarygodnego źródła:

Tylko trójka piotrkowskich radnych uznała, że pobieranie przysługujących im ustawowo diet za pracę społeczną w Radzie nie jest zgodne z ich pojęciem o moralności.

## Z ulicznych rozmów z mieszkańcami:

– Należę do tych osób, które interesują się sprawami swego miasta z czystego egoizmu, ponieważ chcę wiedzieć, co nasi radni dla mnie jako obywatela robią. Dlatego od czasu do czasu chodzę na sesję. Wnioski mam przykre. Czasami jest to smutny kabaret. Nieważne dla nich, o co się kłóć; ważniejsze jest to, że jakiej opcji politycznej należą.

– Bardzo mi się podoba, że nasza nowa władza szanuje Pana Boga. Opowiadają w mieście, że każda rada zaczyna się pacierzem i kończy się pacierzem.

## Premier Bielecki

zdecyduje o dalszych losach wojewody piotrkowskiego, ponieważ rola Sejmiku Samorządowego, zgodnie z ustawą, jest tylko opiniotwórcza. Taka sama jest chyba rola NSZZ „Solidarność”.

(dokończenie na stronie 7)

## Bomba w Piotrkowie

zadeklarowała gotowość współpracy.

## Z rozmowy z mgr inż. Elżbietą Keller-Barabasz, radną RM, kandydatką do Sejmu z ramienia Unii Demokratycznej:

Została radną z listy Komitetu Obywatelskiego, ale tego bez znaku Solidarności, choć sama jest członkiem tego związku. W Piotrkowie podział na dwa komitety obywatelskie nastąpił w marcu 90 r. Przed wyborami samorządowymi kampania wyborcza odbywała się również w kościołach, gdzie księża przekonywali wiernych, aby głosowali na rzecz jedynie słusznym katolików. Ci inni katolicy, z tego drugiego Komitetu Obywatelskiego bez litery „S” już byli niedobrzy. W Radzie Miejskiej jest ich ośmiu, a tych ze znacznym „S” dwudziestu czterech. Musiało to mieć wpływ na wybory prezydenckie miasta Piotrkowa.

„Na pierwszej sesji radni KO „S” stwierdzili, że ponieważ nie mają kandydata na prezydenta, to wybory należy odłożyć do jesieni. My zaprotestowaliśmy: – Jak to? Przez dwa miesiące miasto ma być bez żadnej władzy wykonawczej? Więc odbyła się nadzwyczajna sesja, podczas której prezentowali się trzej kandydaci. Konkursowi. Jeden był dobry, ale niesłuszny, ponieważ przewodniczył poprzedniej Radzie. Drugi na pytanie: – Jak zatrudnić bezrobotną młodzież?, powołał się na swoje doświadczenie z czasów przedwojennego harcerstwa i powiedział, że jak młodzież nie miała co robić, to zbierała kasztany i żołędzie, i je sprzedawała. Ale i tak żaden z trzech kandydatów nie miał żadnych szans, ponieważ dwudziestu czterech radnych z KO „S” głosowało jak jeden mąż, skreślając dokładnie wszystkich trzech, bo taką przyjęli przed sesją taktikę. Na następnej sesji była tylko jedna kandydatura na prezydenta, którą zarekomendował przewodniczący Zarządu Regionalnego „S”, **Zbigniew Mroziński**. I w ten sposób prezydentem Piotrkowa został inż. **Michał Rzanek**.”

## Udana próba „przewrotu”

miała miejsce 24 września br. Tego dnia Zarząd Regionu NSZZ Solidarność woj. piotrkowskiego wystosował do premiera Bieleckiego list, w którym zwraca uwagę na dramatyzm sytuacji w regionie, gdzie narasta bezrobocie, wynikające ze złej polityki gospodarczej. „Pasywna postawa władz wojewódzkich będących organem założycielskim dla 58 przedsiębiorstw doprowadziła do takiego stanu, że tylko 21 wykazuje rentowność”. Bezrobocie sięgnęło już liczby ponad 47 tys. osób. Działania restrukturyzacyjne od wielu miesięcy mają charakter pozorny. A „przebudowy gospodarki nie można dokonać licząc na przetrwanie lub wskazując na trudności obiektywne, co wynika z treści Raportu o Stanie Gospodarki opracowanego przez Urząd Wojewódzki na wniosek Regionu”.

24 września br. zebrał się również Sejmik Samorządowy, podczas którego przewodniczący Regionu, **Zbigniew Mroziński** zapoznał delegatów z treścią listu do premiera. Padł wniosek o poparcie dla listu. Zaczęto zbierać podpisy. Jednak odewały się głosy, że wyrażanie poparcia dla listu „Solidarności” można odczytać jako element kampanii wyborczej do parlamentu, zwłaszcza że na sali są delegaci, którzy kandydują w nadchodzących wyborach. W związku z tym wniosek

wniosek o wotum nieufności. Wówczas jednak wojewoda był obecny, bronił się skutecznie i wniosek nie przeszedł. Na ostatniej sesji wojewoda miał również złożyć szczegółowe informacje i dokonać podsumowania działalności za siedem miesięcy. Ale wojewoda nie przyszedł. Ze sprawozdaniem przysłał swego zastępcę.

## Z rozmowy z członkiem Prezydium Sejmiku, prezydentem Piotrkowa inż. Michałem Rżankiem:

W dniu sesji wojewoda miał naradę w URM na temat przekształceń własnościowych. „Uważam, że należało dać wojewodzie możliwość odpowiedzi na przedstawione zarzuty. Pod jego nieobecność to wszystko nie powinno pójść tak daleko. Wojewoda w swojej pracy deklaruje otwartość, ale na co dzień ta rzeczywistość jest jakby inna, bo z intencjami wojewody, rozmijają się działania jego urzędników.”

## Rozmów z innymi delegatami

z terenu samego Piotrkowa nie było. Przewodniczący Sejmiku, **Andrzej Adamowicz** pojechał do Warszawy wręczyć premierowi uchwałę nr XII 46/91 z dn. 24 września 91 r., której paragraf pierwszy brzmi: „Wyrazić wotum nieufności dla wojewody piotrkowskiego, **Andrzeja Szczepockiego**, mając na względzie całokształt Jego działalności”. Ze względu na brak opracowanego uzasadnienia tej uchwały do Warszawy zabrano stenogram z dyskusji. Rzecznik prasowy Sejmiku odmówił dziennikarkom udostępnienia owego stenogramu z powodu nieobecności przewodniczącego **Adamowicza**. Delegata, przewodniczącego Regionu „S”, **Zbigniewa Mrozińskiego** również w Piotrkowie nie było, ponieważ towarzyszył wraz z wojewodą wizytującemu województwo wiceministrowi pracy i polityki społecznej. Delegat, lekarz, **dr Olczyk** zgadzał się na rozmowę, ale tylko w obecności przewodniczącego **Mrozińskiego**.

## Z rozmowy z kandydatem do Sejmu, dr. Jerzym Wojciechowskim, reprezentantem Sojuszu Lewicy Demokratycznej:

„Sprawa wojewody jest dla mnie ewidentnym przykładem przedwyborczej walki politycznej. Oczywiście, nigdy nie jest tak, żeby wszystkie zarzuty były słuszne lub niesłuszne. Prawda przeważnie leży pośrodku, lecz moim zdaniem wojewodzie zaszkodziła również niekompetencja wielu jego urzędników. Ale w ogóle o urzędnikach w Piotrkowie można by opowiadać długo. Wystarczy choćby przykład naszej lokalnej afery alkoholowej”.

## Mówi Elżbieta Keller-Barabasz:

„Jako radna doskonale znam tę sprawę. Wszystko zaczęło się od tego, że na Sieradzkiej zaczęła mnie właścicielka sklepu pytać, dlaczego do tej pory nie otrzymała koncesji na alkohol, podczas gdy jej najbliższy sąsiad, pan R., dawno taką dostał. A że właściciel sklepu, pan R., był jednocześnie prezesem Wojewódzkiego Zrzeszenia Prywatnego Handlu i Usług, zaś przewodniczący Rady Miejskiej, posiadający sklep z galanterią,

**Dokończenie  
opowieści  
o tym, jak  
rozrabiano  
wojewodę**

## Bomba W Piotrkowie

Wojewoda Andrzej Szczepocki 25 września br. w związku z wyrażeniem wobec niego wotum nieufności, skierował do przewodniczącego Prezydium Sejmiku, Andrzeja Adamowicza list, w którym pisze: „Jak wynika z uzyskanych przeze mnie informacji, charakter podniesionych przez niektórych delegatów w stosunku do mojej osoby zarzutów nosił charakter demagogiczny i osobisty. Z uwagi na powyższe oraz fakt, iż do podjęcia przedmiotowej uchwały doszło podczas mojej nieobecności, pozwalam sobie wyrazić pogląd, iż dokonana poprzez podjęcie tej uchwały ocena działalności administracji rządowej w województwie oraz mojej osoby – została przeprowadzona w sposób uniemożliwiający przedstawienie racji obu stron.”

### Z rozmowy z delegatem na Sejmik z terenu woj. piotrkowskiego:

„Jest mi niezręcznie mówić o pracy Sejmiku, bo sam w niej biore udział. Staramy się robić, co w dzisiejszej sytuacji gospodarczej jest możliwe. Dobrą sprawą jest na przykład tworzenie Związków Gmin Nadpilicznych, dużo dobrego można powiedzieć o samorządach gminnych. Ale musimy powiedzieć i to, że metoda rozrabiania wojewody pod jego nieobecność budzi we mnie niesmak i wywołuje skojarzenia ze starymi metodami walki politycznej. Ponieważ sesja poświęcona była głównie oświadczeniu, byliśmy przygotowani raczej na wotum nieufności, ale dla kuratora. Kurator na swoje szczęście był obecny na sesji i potrafił inteligentnie się bronić. Wojewoda takiej szansy nie miał. Może ja mam i spiskową teorię, ale zastanawia mnie dziwny zbieg okoliczności, że i wnoszący o wotum nieufności burmistrz Tuszyńska, i szef Sejmiku kandydujący na postów, a przewodniczący Regionu ubiegający się o fotel senatora.”

### Z rozmowy z sekretarzem Regionu „Solidarności”, Jerzym Markiewiczem:

Zapytany, czy jeśli premier odwoła wojewodę, Zarząd wystąpi z własnym kandydatem, odpowiedział: „– Nie jest wykluczone, że będziemy mieć kandydata, choć jeszcze nie mogę powiedzieć, o kim myślimy. Natomiast nie chcemy nikogo narzucać. Jesteśmy otwarci, mówimy publicznie, że oczekujemy na konkretne, rzeczowe kandydatury, nawet z innych niezwyczajnych środowisk. Nie chcemy sobie usurpować prawa do wyłączności”

### Z ulicznych rozmów:

Bardzo wielu mieszkańców Piotrkowa mówi, że wojewodą zostanie pan Mroziński. Z zawodu elektryk.

### Bomba w „Sezamie”,

miała wybuchnąć drugiego października, akurat wtedy, kiedy zbieraliśmy materiał do tego reportażu. Policja otrzymała anonimową telefoniczną informację, że w domu handlowym „Sezam” podłożona jest bomba. Z Łodzi ściągnięto oddział komandosów, przyjechała straż pożarna, pogotowie, wyłącznie z ruchu cały kwartał Śródmieścia, a kulminacyjny moment nastąpił, gdy mieszkańcom okolicznych domów kazano się ewakuować. W podejrzanej paczce bomby na szczęście nie było.

Natomiast jeśli chodzi o bomby polityczne, to podejrzewamy, że w tym sezonie pewnie ich jeszcze kilka w Piotrkowskim wybuchnie.

Bogda Madej  
Ewa Ostrowska

Jest spokojny, onieśmielony. Robi dobre wrażenie. Nie wygląda na pijaka czy mordercę. Wzbudza zaufanie. Tak mówią ci wszyscy, którzy go znali. Nawet sąsiedzi z ul. Wojska Polskiego w tej kolejarzkiej miejscowości nie żałują zamordowanej lecz mordercy.

Domek Masztalskich nie wyróżnia się niczym szczególnym. Ot, taki jak wiele w Koluśkach. Dziś zatrzymują się przed nim matki z dziećmi i opowiadają o tej okrutnej zbrodni.

Zenobia Masztalska mieszkała tu wraz ze swoim synem Szymonem. Nie miała najlepszej opinii u sąsiadów. Tego dnia odwiedziła ją córka ze swoimi dziećmi. W tym czasie Szymon wraz z kolegą zakładali w łazience łazienkę. Gdy skończyli robotę, wypili po kielichu. Około 18.30 opuścili dom. Pół godziny później wyszła córka.

Szymon udał się do swojej narzeczonej. Wsiadł następnie na rowery i pojechali do lasu na wycieczkę. Około 21.30 wrócili do domu. Szymon



był trochę pokaleczony, bo po drodze przewrócił się.

Drzwi otworzyła mu matka. W rękę trzymała nóż, bo właśnie kroiliła kielbasę. Zapaliła światło w korytarzu i wtedy zobaczyła, że ma zdartą skórę na nosie. Poczuli też alkohol i zaczęła mu ubliżać. „Chcesz to skończyć z tym wszystkim!” – krzyknęła i zamierzyła się na niego. Zasłonił się. Odpowiedział, że już niedługo będzie spokojny, bo w październiku planuje ślub. To ją zirytowało jeszcze bardziej. Uderzyła go w głowę. Wpadł w szal. Popchnął ją. Chwytał nóż. „Pójdiesz do więzienia!” – krzychała. Właściwie nie pamięta dokładnie tego, co działo się dalej. Zadawał cios za ciosem. Siedem trafiło w okolice serca. Łącznie dwadzieścia jeden pchnięć nożem.

Na chwilę opamiętał się. Był przerażony. Wymiotował. Zgasił światło na korytarzu. Próbował zebrać myśli. Na szczęście nikt nie zaglądał do domu. Sąsiedzi zajęci swoimi sprawami nie reagowali na krzyki.

## Przepraszam, czy tu biją?

Z wypowiedzi poszkodowanego, Waldemara Strejba: To, co mi się przytrafiło, to zupełny horror! Nie dość, że mnie policja okradła, to jeszcze później policjanci mnie pobili na komisarzacie! Przy zonie i malej córce!

– Ale po kolei. W minioną środę podjechałem sobie na ul. Wólczańska, pomiędzy Kopernika i Andrzeja, żeby kupić w warzywniaku chleb. Gdy zamykałem drzwiczki samochodu, zatrzymał się koło mnie radiowóz. Jeden z policjantów kazał odjechać. Powiedziałem grzecznie, że za chwilę, tylko kupię chleb. „Natychniast!” – wrzasnął na mnie. Pomyślałem, że chyba ma od tej władzy przewrócone w głowie, i odpowiedziałem, że chyba za dużo tych gwiazdek mu dali. No i zaczęło się: urażona ambicja. Przeczytał wszystkie moje dokumenty i kazał sobie dać kluczyki. Oczywiście nie dałem. Więc on, że zabierają auto. I wezwali przez radio taki wóz techniczny i rzeczywiście odholowali mi gdzieś samochód. A w środku miałem mnóstwo elektronicznego sprzętu wartości wielu milionów złotych! Mówię im o tym, a oni, że mogę sobie sam tego sprzętu pilnować!

Powiedziałem, że chcę od nich dostać jakieś zaświadczenie, że mi zabrali samochód i sprzęt, a oni na to, że zandego takiego mi nie dadzą! Nawet się nie zastanawiałem; nie było daleko, więc poleciałem od razu do Wydziału Ruchu Drogowego, na Żeromskiego. I mówię na dyżurce, że aspirant policyjny Dedyński ukradł mi samochód i prywatny sprzęt, więc ja od policji chcę jakiś kwit depozytowy. Ale tam w ogóle nie chcieli ze mną gadać! Powiedzieli tylko, że nic nie dostanę.

Poszedłem do domu, zadzwoniłem do sekretariatu Naczelnika WRD i znowu mu wszystko opowiedziałem. Ten na to, żebym poszedł. Więc z żoną i dzieckiem poszedłem na komendę. Wpuszczono nas do Naczelnika. U niego był ten aspirant Dedyński. I oni od razu na mnie: że przez telefon powiedziałem, że mi zabrali dowód rejestracyjny bez pokwitowania, a przecież zabrano samochód. A na to rzeczywiście nie daję się zaświadczeń. Potem Naczelnik poprosił jeszcze jednego pana, któremu kazał załatwić sprawę „zgodnie z przepisami prawa”. Wysłaliśmy do korytarza, ten pan oświadczył mi, że w tej sprawie najpierw musi pojechać do jakichś urzędów. Przez cały czas trzymał pod pachą dowód rejestracyjny mojego samochodu, który mi chciał tym razem zabrać,

## 21 ciosów nożem zadał matce, potem ją zakopał w pokoju pod podłogą i spokojnie przygotował się do wesela

Najważniejsze zatrzeć ślady – myślał gorączkowo. Co zrobić z ciałem matki? Jak usunąć krew? Nagle przyszła mu do głowy myśl, by zakopać ją w domu, pod podłogą sypialni.

Poszedł po narzędzia. Usunął kilka desek. Zaczął kopać dół. Nie szło mu to sprawnie. Spieszył się też, by ktoś nie nadszedł. Dół był niewielki. By zmieścić się zwłoki – musiał podwinąć nogi. Zaczął zasypywać. Wrzucił jeszcze foliowy worek od cementu. Ułożył deski, szpary uszczelniał gipsem. Przyniósł farbę, zamalował deski. Nie mógł czekać na wyschnięcie lakieru, więc na mokry położył wykładzinę.

Co robić, jeśli zaczną szukać matki? Trzeba mówić, że wyszła z domu i nie wróciła dotąd. Miała iść następnego dnia do lekarza, więc może w drodze przydarzyło się jakieś nieszczęście. Taka wersja wydała mu się prawdopodobna. By ją jeszcze bardziej uprawdopodobnić – wyjął z szafy trochę matki ciuchów i spalił je w piecu. Ogień strawił też dokumenty Masztalskiej.

Następnego dnia zjawił się w pracy. Pracował na kolei jako elektromonter. Gdy poprosił o dzień wolny, nie wzbudziło to niczyich podejrzeń. Opinię miał dobrą, a czasy teraz takie, że ludzie muszą sobie jakoś radzić i pomagać.

Wieczorem poinformował siostrę o zniknięciu matki. Elżbieta szukała Zenobii Masztalskiej w szpitalu, przychodni lekarskiej, rozpytywała ludzi. Bez skutku.

Meldunków o zaginięciach ludzi jest sporo, więc policja początkowo ograniczyła się do rutynowych działań. Ludzie giną, potem okazuje się, iż wyjechali do znajomych, „gdzieś w Polsce”, że mieli dość rodziny, sąsiadów, przyjaciół. Wracają, bo przecież gdzieś żyć trzeba, a całe zamieszanie z powodu rzekomego zaginięcia okazuje się często stratą czasu.

Taka sytuacja była przez cały miesiąc od zaginięcia Zenobii. Szymon odwiedzał swoją narzeczoną, czynił ostatnie przygotowania do ślubu. Ustalono już dzień i miejsce, w którym miało się odbyć przyjęcie.

Trudno jednak było żyć Szymonowi ze świadomością, iż w domu pod podłogą spoczywa ciało jego matki, bo widać było, że coś go gnębi. Wzbudziło to podejrzenia rodziny, a w końcu i policji. Do zbrodni przyznał się natychmiast, dokładnie opowiedział też przebieg wydarzeń tego feralnego wieczoru. Widać musiał z siebie zrzucić ciężar zbrodni, przed kimś się wygadać, bo nie ograniczył się tylko do tego, co dotyczyło jego matki. Wyjawiał przy okazji, że to właśnie on jest sprawcą wielu włamań i kradzieży do szkół, domków letniskowych, okolicznych sklepów. Policja skrupulatnie podliczyła wszystkie kradzieże i mogła już

przystąpić do tworzenia prawdziwego wizerunku Szymona Masztalskiego.

W śledztwie wyszło z kolegą. Zrabowane radiodiodobijaki, magnetofony i inne przedmioty sprzedawał znajomym, kolegom. Często nabywali je olechowscy kolejarze. Byli zadowoleni, bo sprzedawał tanio.

W końcu lipca br. Szymon stanął przed Sądem Wojewódzkim w Piotrkowie. Zeznawało wielu świadków. Wszyscy zgodnie mówili, iż nie wierzą, że Szymon był matkobójcą. On też stwierdził,

## Matkobójca

że nie wierzy, by dokonał tak okrutnej zbrodni. To wszystko działo się jakby we śnie – mówił.

Szymon skazany został łącznie na 15 lat więzienia. Sąd wymierzył wyrok zarówno za morderstwo jak i wszystkie kradzieże. Zasadził też odszkodowanie na rzecz pokrzywdzonych.

Rozprawa trwała kilka dni. Sąd bowiem chciał ustalić nie tylko wszystkie okoliczności zbrodni i wymierzyć sprawiedliwy wyrok, ale też poznać prawdziwe motywy postępowania Szymona. Jak to się stało, że ten cieszący się dobrą opinią chłopak był zdolny do zamordowania swojej matki, ukrycia ciała pod podłogą i jednoczesnego przygotowywania się do weseliska? Dlaczego udawało mu się bezkarnie kraść nie zwracając niczyjej uwagi i nie wzbudzając żadnych podejrzeń?

Rozprawa dostarczyła odpowiedzi na te pytania. Szymon wychowywał się w środowisku kryminalnym i dla osób stojących z boku był nawet tym, który wyróżniał się w tej rodzinie pozytywnie. A że w gruncie rzeczy prowadził podwójne życie, że miał dwie twarze – udawało mu się zmylić czujność sąsiadów i znajomych.

Żas jeśli idzie o samą zbrodnię, wytłumaczenie jest proste: matka swoim okrucieństwem i bezwzględnością stanęła na drodze szczęściu Szymona. Było to takie zagrożenie, że chłopak stał się zdolny do najokrutniejszego czynu. Po zdarzeniu, jak mówią prawnicy, zadziałał lęk, spiętrzenie emocji. Swoje też zrobił alkohol i zmiany organiczne u zabójcy.

R. Poradowski

P.S. Nazwiska i imiona ze zrozumiałych względów zostały zmienione.

pod pretekstem, że jest nieważny. A przecież tylko właściciel może mieć „brif”, nikt inny! Dokumentu nie chciał oddać, więc ja mu go wyszarpanąłem. Wtedy oni i ten aspirant – rzucili się na mnie! Poturbowali mnie, podarli koszulę za 100 i kurtkę za ponad 200 marek. I jeszcze grozili: „No, ty to już stąd nie wyjdiesz!”. Na szczęście odgrodziła mnie od nich żona, która trzymała płaczącą córkę. Bo wiadomo jak reaguje dziecko, gdy ojca biją...

I wtedy wyszedł Naczelnik i spytał co się tu dzieje. To ja mówię, że napadli i pobili mnie bandyci. A przedtem ukradli mi auto! Ten, żebym się uspokoił. To natychmiast stamtąd wyszliśmy. Na szczęście z „brifem”. I pojechaliśmy od razu na Lutomiarską. Tam przyjął mnie nadkomisarz Pawlak. Po telefonicznej rozmowie z WRD powiedział mi, że „jak będziesz grzeczny, to ci tam wydadzą to zaświadczenie”. I nic więcej nie chciał pomóc. To poszedłem do właściwej prokuratury dzielnicowej, gdzie złożyłem skargę na Policję. Ze popełniono dwa przestępstwa: Pozbawiono mnie mojej własności oraz pobito.

Z rozmowy z komisarzem Franciszkiem Pawłowskim:

– Czy to prawda że policjanci Wydziału Ruchu Drogowego szarpali się z obywatelem tak, że podarli na nim koszulę i że zabrali mu samochód bez dania jakiegos zaświadczenia?

– Prawda. Ale opowieć od początku.

– Wizyta pani Thatcher spowodowała obustronne kontroli i samochodów, szczególnie z zachodnimi rejestracjami, jak i bezwzględne przestrzeganie zakazów zatrzymywania się i przejeżdżności ulic Śródmieścia. Drugiego września po godzinie 10 przy bramie posesji 64 na ulicy Wólczańskiej zatrzymał się – blokując wjazd – volks-wagen passat na niemieckich (nie celnych) numerach, i wysiadł z niego mężczyzna. Funkcjonariusze z oddziałów prewencji, przejeżdżający obok w radiowozie, zwrócili uwagę, że przednie tablice samochodu są oryginalne, tylne zaś – namalowane na dykie. W dodatku tablice nie miały aktualnego znacznika ważności („pikiel”).

Kierowcę poproszono tylko, żeby odjechał, ale ten coś odburknął i nie chciał rozmawiać. Poproszono go o wylegitymowanie się. Podał niemiecki dowód rejestracyjny samochodu (już nieważny od kwietnia br.) na nazwisko obywatela niemieckie-

go oraz już swój własny dowód osobisty. Policjanci poprosili o pokazanie numerów silnika, ale mężczyzna nie miał ochoty na taką współpracę. Poproszono go więc o kluczyki od zamkniętego samochodu – również odmówił. Szybko – wykorzystując nieostrożność wyszarpaną policjantowi z ręki dowód rejestracyjny. Brak prawa jazdy tłumaczył faktem, że zostało mu ono zabrane za jazdę po użyciu alkoholu.

Funkcjonariusze zdecydowali się odstawić auto na parking przy ul. Żniwnej.

Według obowiązującego prawa drogowego, policja może odholować samochód tarasujący ruch, z kolei kierowca ma obowiązek udokumentowania własności i pochodzenia samochodu (w tym wypadku mężczyzna nie okazał ani karty przekroczenia granicy, ani dokumentów odprawy celnej samochodu). Nie posiadał także umowy kupna samochodu poświadczanej w jakimkolwiek urzędzie polskim czy niemieckim.

Pan ten po około godzinie przybył do naczelnika, gdzie mnie również poproszono. Naczelnik polecił załatwić sprawę zgodnie z przepisami. Sam zainteresowany również pokrzykiwał, że nauczy nas praworządności. Chcieliśmy przy okazji ponownie zatrzymać nieważny dowód rejestracyjny, ale mężczyzna wyszarpanął go wraz ze swoją kartoteką drogową z ręki mojego kolegi, i rzucił się do wyjścia. Pobiegliśmy za nim, złapaliśmy go i miała miejsce szarpanina, w wyniku której z jedwabnej koszuli mężczyzny zostały pourywane guziki. Obecna przy tym żona i córka tego pana podniosły okropny krzyk. Mężczyzna oświadczył, że nie odda dowodu, że „on nam pokaże”. Rozpętała się awantura. Naczelnik dla świętego spokoju polecił oddać ów dokument. Sprawa miała się po prostu toczyć dalej. Kartotekę oczywiście odebraliśmy.

Zgodnie z prawem, po auto może zgłosić się jego właściciel lub osoba która udokumentuje nabycie samochodu od pana figurującego w dowodzie rejestracyjnym. I wtedy samochód natychmiast zostanie oddany. I to w tej sprawie wszystko. Gwoli ścisłości trzeba jeszcze dodać, że Waldemar Strejba nigdy nie miał prawa jazdy, zaś między innymi za jazdę bez uprawnień, niesprawnym samochodem lub bez ważnych dokumentów, aż siedmiokrotnie w ciągu ostatniego półtora roku stawał przed i był osadzany przez Kolegium do Spraw Wykroczeń, co dokumentuje owa wyrwana funkcjonariuszowi z ręki kartoteka. Na kilkakroć zadawane przez policję pytanie: dlaczego nie zrobi prawa jazdy, pan ten odpowiadał „po co, ja i tak już umiem jeździć”, lub „nie mam na to czasu”.

Jerzy Machejek

## MARGARET THATCHER...

Przed nią, w kraju dumnym ze swej „męskiej” historii i tak silnych... niewiast dzierzających berło i koronę Zjednoczonego Królestwa, jak władająca Anglią przez 45 lat Elżbieta I, czy aż 64 lata zasiadająca na brytyjskim tronie królowa Wiktoria, bądź też Elżbieta II, która w przyszłym roku obchodzić będzie 40-lecie swego panowania, żadna kobieta nie pełniła funkcji premiera.

Przed nią, od stu sześćdziesięciu lat, zaden z brytyjskich premierów nie wygrał aż trzy razy z rządu wyborów powszechnych.

Przed nią też nazwisko żadnego z szefów brytyjskiego gabinetu nie stało się źródłosłowem utrwalonej już dziś w świecie nazwy określonej koncepcji polityki wewnętrznej i międzynarodowej, jaką realizowała przez jedenaście lat. Mimo odegranych w historii ról, mimo znaczenia i osiągnięć takich jej poprzedników jak choćby Benjamin Disraeli bądź Stanley Baldwin a nawet Winston Churchill lub Harold Macmillan, od ich nazwisk nie tworzone „tytułów” dla kierunków myśli społeczno-politycznych. W języku polityki

## Małgosia z żelaza

się nad nim mikroskopijnym mieszkankiem, w którym nie było ciepłej wody, łazienki ani ubikacji. Tu właśnie w odstepie pięciu lat urodziły się obie ich córki: Muriel i Margaret. Pan Albert Roberts był surowym człowiekiem, ale córki nie odczuwały przed nim lęku. Margaret była jego ulubienicą i nadzieją, on zaś – na zawsze pozostał dla niej wzorem i najwyższym autorytetem. Ojciec przyszłej Pani Premier był samoukiem. Margaret co tydzień przynosiła mu z publicznej biblioteki kolejne książki o tematyce historycznej i politycznej, bo historia i polityka interesowały go najbardziej. Ta ostatnia wkroczyła do rodzinnego domu „Maggie” w osobie przybyłej z Wiednia „korespondencyjnej” przyjaciółki jej siostry, której rodzice, zdłużeni, wcześniej listownie prosili pana Roberta o udzielenie schro-

ki klasycznej i członkostwo Partii Konserwatywnej, do której, po krótkim zainteresowaniu Partią Pracy, wstąpiła pani Thatcher. Państwo młodzi spędzili miodowy miesiąc na Maderze, a w dwa lata po ślubie przyszły na świat bliźnięta: córka Carol i syn Mark.

\* \* \*

Wyniesione z rodzinnego domu zainteresowania i ukształtowany w nim bujny temperament polityczny oraz silna samodyscyplina i wczesnie – głównie przez ojca – rozbudzone ambicje sprawiły, iż pani Thatcher, mając znakomite przygotowanie prawnicze z wielkim zapamiętaniem w nurt życia społeczno-politycznego swego kraju. Będąc członkiem brytyjskiej Partii Konserwatywnej rychło stała się jej bardzo aktywnym działaczem. W pokonywaniu kolejnych szczebli kariery politycznej pomagała jej coraz wnikliwsza, coraz szersza znajomość zagadnień społecznych i ekonomicznych i coraz rozleglejsza, wręcz doskonała orientacja w problematyce międzynarodowej. W zdobywaniu, gromadzeniu i wykorzystywaniu tej wiedzy dobrze służyła pani Thatcher jej wrodzona chłonność intelektualna, zaś umacnianiu pozycji polityka – prawdziwie żelazna konsekwencja, umiejętność sugestywnej argumentacji, talent oratorski oraz okazywany wszędzie szacunek i przywiązanie do tradycji Wielkiego Imperium, a także... miły uśmiech, urok osobisty, nieskazitelne maniere współczesnej angielskiej pani domu, dobrej żony i troskliwej matki oraz równie nieskazitelna, „klasyczna” elegancja nowoczesnej kobiety.

Najpoważniejszym z zajmowanych przez Margaret Thatcher stanowisk przed objęciem przez nią kierownictwa brytyjskiej Partii Konserwatywnej, było stanowisko Ministra Edukacji i Nauki, którego funkcję pełniła w latach 1970-1974. Lew Albionu pomrukiwał w niej już wtedy, ale pełnym głosem odezwał się w roku 1975, gdy stanąwszy na czele swojej partii, została przywódcą opozycji parlamentarnej. W maju 1979 roku pani Thatcher objęła urząd premiera Wielkiej Brytanii i odtąd w rubryce „miejsce zamieszkania” międzynarodowe „Who is who?” publikowało znany całemu światu adres: 10 Downing Street, London, England.

Brytyjczycy wiązali z nią wielkie nadzieje na ponowne umocnienie pozycji Zjednoczonego Królestwa na arenie międzynarodowej. Dla nich bowiem kwestia miejsca ich ojczyzny w świecie była zawsze równie ważna, jak rozwiązywanie trudnych problemów społecznych i ekonomicznych. Nadziei tych pani Thatcher nie zawiodła, choć zaordynowana przez nią brytyjskiej gospodarce kuracja bynajmniej nie była bezbolesna. Jej decyzje, szczególnie te, które wazyły się za sferą polityki społecznej, budziły szereg kontrowersji i oporów. Przeciwno wielu jej posunięciom, które podejmowała prywatyzując liczne dziedziny gospodarki i znaczące przedsiębiorstwa, bardzo gwałtownie protestowały rozmaite środowiska i związki zawodowe. Wiele obiektywnie budziła jej polityka podatkowa. Ale „Maggie” wierzyła w słusność obranej drogi, w twarde prawa ekonomii, w sens wolnego rynku. Nie ulegała żadnym presjom ani naciskom, nie pozwalała sobie na żadne wzruszenia ani sentymenty.



Była nieustrascona i nieprzejednana. Nie złamał jej długi, dramatyczny strajk górników, ani protesty przeciw drastycznemu zgłosa oszczędnościom także w takich dziedzinach jak nauka i opieka społeczna. Kuracja była bolesna, ale skuteczna. Wielka Brytania jej właśnie zawdzięcza swój znaczący w latach osiemdziesiątych postęp ekonomiczny i niewątpliwą wzrost znaczenia na arenie międzynarodowej.

\* \* \*

Margaret Thatcher kobiecy wdziękiem łagodziła drastyczność, a nawet cynizm tej dewizy swych rodaków, która głosi, iż „Wielka Brytania nie ma przyjaciół, Wielka Brytania ma interesy”. Jednak wdzięki ów nie zmienił faktu, iż o brytyjskie interesy gotowa była walczyć jak lwica. Już nie tylko głos, ale prawdziwie lwia postać pokazała w brytyjskiej wojnie o Falklandy, którą rozegrała i wygrała z maestrią prawdziwego stratega. Światowe agencje fotograficzne publikowały wtedy jej zdjęcia we wnętrzu podwodnej łodzi bojowej. Żelazna Dama...

Na zdjęciach z tych spotkań przywódców najbardziej uprzemysłowionych i najbogatszych państw świata, na których omawiano między innymi kwestie pomocy dla krajów Europy Wschodniej i Związku Radzieckiego, Żelazna Dama ma twarz zatroskaną. Jej udzieloną kanclerzowi Helmutowi Kohlowi na spotkaniu w Dublinie ripostę, iż „nie chodzi o to czy pomóc gospodarzowi Gorbaczowowi, lecz o to jak należy to zrobić”, z szacunkiem odnotowały wszyscy obserwatorzy i komentatorzy życia politycznego. Zawsze z szacunkiem odnoszono się do jej rozważań.

Z szacunkiem także przyjęto jej nagłą i – jak wszystkie wcześniejsze – nie dopuszczającą żadnej dyskusji ubiegłoroczną decyzję o rezygnacji z funkcji premiera. Była Pani Premier z wielkim szacunkiem przyjmowana jest dziś we wszystkich krajach świata. W Polsce gościła właśnie po raz drugi. W jej głos, dziś już „nieoficjalny”, wciąż chętnie wstępują się politycy. Kto wie, być może Margaret Thatcher nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa...

Ewa Pankiewicz



określającym różnorodne ustroje i modele sprawowania władzy nie narodził się „disraelizm”, „baldwinizm”, „churchillizm” ani „macmillanizm”. Jedyne ona ma swój rozdział nie tylko w historii, ale i w zasobie pojęciowym politologii: „thatcherizm”.

Jak tego dokonała? Kim jest? Jaką przeszła drogę? Margaret Thatcher... Jedni zwa ją pieszczotliwie „Małgosia” („Maggie”), inni – „Żelazną Damą” („Iron Lady”). Ci obserwatorzy życia politycznego, którzy dla każdej osobowości starają się znaleźć personalny punkt odniesienia chętnie nazywali ją „Reaganem w spódnicy”, ona sama zaś porównała się kiedyś do Dżyngis-chana...

Margaret Hilda Thatcher w najbliższą niedzielę, 13 października, obchodzić będzie sześćdziesiątą szóstą rocznicę urodzin. Przyszła na świat w Grant-ham, małym miasteczku w hrabstwie Lincolnshire, gdzie jej ojciec, Alfred Roberts, członek Kościoła Metodystów, wcześniej poznał w nim na jednym z nabożeństw pannę Beatrice Stephenson, która wkrótce stała się jego żoną. Połączywszy swe oszczędności młodzi państwo Robertsowie kupili niewielki sklepik warzywny wraz z mieszczącym

nienia ich osiemnastoletniej Edith. Wizja faszystowskiej dyktatury oraz bezpośrednie relacje o przejawach, skutkach i ofiarach antysemityzmu były prawdziwym szokiem dla małej Margaret.

W domu państwa Robertsów panował ład i porządek, przede wszystkim zaś – kult nauki i pracy, także pracy nad własnym charakterem i osobowością. Wychowywane w swoistym rygorze panienki po lekcjach pomagały rodzicom w sklepie, a dwa razy w tygodniu ubogim bądź chorym sąsiadom zanosili pieczone przez mamę ciasta. Niedziele zarezerwowane były na stałe dla spraw ducha, którego potrzeby rodzina zaspokajała przede wszystkim w miejscowym kościele. Surowy tata tłumaczył swym córkom, iż niczego nie wolno robić wyłącznie dla pieniędzy, że pieniądze nie mogą być celem, a tylko środkiem do zrealizowania zamierzonych przedsięwzięć. Nie dla pieniędzy więc, a z miłości, po studiach na Wydziale Chemii – i równocześnie! – na Wydziale Prawa słynnego Oxford University, Margaret Roberts w 1951 roku wyszła za mąż za poznanego w domu swych przyjaciółek 36-letniego Denisa Thatchera, który kierował należącym do jego rodziny przedsiębiorstwem chemicznym w Erith. Połączyło ich uczucie, zamiłowanie do muzy-

## Tych dwanaście miesięcy

Rozmowa z EWĄ KLUCZKOWSKĄ redaktorem naczelnym „Wiadomości dnia”

– Co to znaczy dziś określenie: gazeta prywatna?

– To znaczy, że trzeba tu dużo pracować. Kiedy „Wiadomości dnia” pojawiły się na rynku nie były jedyną gazetą prywatną, choć jedną z pierwszych. Z perspektywy dwunastu miesięcy widać, że znalazły sobie własnego czytelnika i mają o wiele mniej problemów niż inne, konkurencyjne tytuły. Niektóre z nich okazały się efemerydą.

– Tymczasem to wam dawano najwyżej trzy miesiące...

– Dokładnie to pamiętam. Niewiele wierzyło, że w ogóle się ukazemy. Tymczasem wystartowaliśmy zaledwie po dwóchpółmiesięcznych przygotowaniach. Kiedy minął kwartał, „życzliwi” dawali nam pół roku istnienia.

– I minął już rok, a wy wciąż wychodzicie. Nie zanoszą się na upadek. Czy pracować więcej to znaczy jednocześnie lepiej?

– W porównaniu z innymi codziennymi gazetami o podobnym zasięgu i objętości zespół „WD” jest o wiele mniej liczny. Oprócz sekretariatu i depeszcowników mamy na etacie zaledwie paru dziennikarzy.

– Sądziłem, że jesteście molochem. Macie przecież ambicje ponadregionalne, krążyło o was wiele mitów.

– Jesteśmy stale obecni w dziewięciu województwach, nie tylko w makroregionie łódzkim, zdobyliśmy bowiem umocnione przyczółki także w częstochowskim, poznańskim, warszawskim, katowickim. Wykorzystujemy chyba wszystkie możliwości kolportażowe, jakimi dysponuje „Ruch”.

– Podobno „WD” powstały, aby wesprzeć kampanię prezydencką Lecha Wałęsy.

– To także jeden z mitów. Gazeta prywatna, jak każde inne przedsięwzięcie rynkowe, jest przede wszystkim biznesem. Musi się sprzedawać, zdobywać czytelnika. Nasz zespół od początku dążył do niezależności. Nie jesteśmy związani z żadną opcją polityczną. Najwyższą wyrocznią jest dla nas czytelnik.

– A jak się mają te deklaracje do niedawnej zmiany właściciela gazety?

– Wydawcą gazety od początku była spółka, obecnie zostały sprzedane jej akcje. Dziś głównym udziałowcem jest Grupa Ubezpieczycieli „Westy”, którą w Radzie Nadzorczej naszej spółki reprezentuje prezes Janusz Baranowski.

– Co oznacza ta zmiana?

– Myślę, że same korzyści. Przechodzimy na fotokład, w najbliższym czasie zaczniemy się ukazywać w technice offsetowej. To pozwoli uczynić gazetę bardziej atrakcyjną. Chcemy jednak poprawić nie tylko jej wygląd. My naprawdę pracujemy nad tekstami. Muszą być krótkie i zawierać jak największy ładunek informacji. I nasi młodzi dziennikarze dobrze rozumieją te wymagania.

– Macie chyba także autorów doświadczonych? Młodość jest cenną wartością, ale jeszcze ważniejszą jest warsztat.

– To oczywiście. I nasz zespół, choć młody, dorobił się znaczących autorów. Stale współpracuje z nami choćby Krzysztof Mroziwicz, znany komentator międzynarodowy, który chyba nie wymaga bliższej prezentacji.

– A jak zdobywacie materiały z innych regionów?

– Niestety, nie wszędzie mamy swoich korespondentów, korzystamy więc często z serwisu PAP. Ale przede wszystkim wykorzystujemy informacje własnych dziennikarzy. Młodość sprzyja ruchliwości i często udaje nam się wyprzedzić konkurencję, a w dzienniku jest to niesłychanie ważne. Zapewne zwrócił pan też uwagę jak wiele znaczy dla nas pierwsza strona gazety.

– A co wiecie o swoim czytelniku?

– Jest chyba tak, jak w innych redakcjach, nie przeprowadzaliśmy specjalnych badań socjologicznych. Podstawowym źródłem wiedzy o odbiorcach są listy, telefony, a także osobiste wizyty czytelników. Staramy się robić gazetę dla wszystkich. Bardzo rozwinęliśmy część biznesową, obserwując co dzieje się na rynku. Myślę, że nowe, niewielkie firmy uzyskują dzięki nam cenne informacje, przydatne w interesach. Staramy się także wyeliminować teksty długie, nudne i niewiele mówiące. Przyswiewca nam dewiza: mniej dywagacji, więcej informacji.

– A czy czytelnik potrafi docenić te wysiłki?

– Odpukać, bo jestem bardzo przesadna, ale chyba zostaliśmy docenieni. Świadczą o tym wyniki sprzedaży, i ciągle wzrost nakładu. Choć wiemy, że wciąż mamy przed sobą wiele pracy. Mogę jednak wyjawiać, że w dni powszednie zwiększyliśmy nakład o jedną trzecią, a w wydaniu magazynowym nawet procentowo więcej. W tym czasie inne łódzkie gazety odnotowały albo spadek, albo stabilizację nakładu. Gdyby kolpor-

taż był bardziej sprawny, sprzedawalibyśmy się jeszcze lepiej.

– Miarą popularności gazety jest reakcja czytelników.

– Kupują nas, zwracają się do nas w trudnych sprawach. Dostajemy także kartki z życzeniami. To świadczy o zaufaniu, o identyfikowaniu się z gazetą. Jest dla nas także źródłem inspiracji. O dziwo nawet urzędy i różne instytucje publiczne reagują na nasze materiały.

– Ostatnio jednak najpoważniejszym potentatem prasowym na polskim rynku stał się koncern Hersanta. Przejął on dwie łódzkie bardzo popularne gazety. Czy nie obawiacie się konkurencji?

– To, co się dzieje na rynku prasowym, jest bardzo interesujące. Mamy przecież do czynienia z najbardziej posuniętym procesem prywatyzacji. Hersant jest rzeczywiście potentatem, ale we mnie wyzwała to energię. Oczywiście wyzwanie, jakie przed nami stoi, nie jest łatwe. Warto się zmierzyć, nie jesteśmy bez szans. Na szczęście Łódź jako wielkie miasto jest miejscem na różne tytuły prasowe. Naszym celem jest odróżnienie się od innych. Ta inność to właściwa droga do zdobycia czytelnika.

– Jest zapewne coś symbolicznego w fakcie, że pracujecie w pomieszczeniach, które jeszcze niedawno zajmowała cenzura.

– Nie jestem łodzianką, dowiedziałam się o tym stosunkowo późno. Mamy nadzieję, że cenzura to czas przeszły, że ten koszar nie zagrozi prasie w demokratycznej Polsce. Ten lokal mieści się w dobrym punkcie, to przecież centrum miasta.

– Czego życzy sobie pani z okazji jubileuszu, jako redaktor naczelny „Wiadomości dnia”?

– Dobrej gazety, zdobywania rynku i czytelnika.

– Życzę powodzenia i kolejnych jubileuszy. Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał:

Konrad Frejdlich



# Podstuchane podpatrzone odnotowane



## Za kulisami pantomimy

Ciekawy samego siebie...

Na rynku księgarskim ukazała się nowa książka poświęcona słynnej w świecie Wrocławskiej Pantomimie Henryka Tomaszewskiego, tym razem w naukowym ujęciu tego ciekawego i wciąż frapującego zjawiska scenicznego.

Henryk Tomaszewski nie ma już tych sił co dawniej, ale wciąż jest ciekawy samego siebie. Interesują go również metody jakimi będzie pracował i temat, jaki wybierze do realizacji. Mimo 32 lat pracy, nie odczuwa jeszcze potrzeby odpoczynku. Tym bardziej, że widzi ciągle zainteresowanie publiczności, bo sale na spektaklach Wrocławskiego Teatru Pantomimy są pełne. Obie strony ciągle się uzupełniają. A to przecież ideał o jakim marzy każdy dyrektor teatru.

Na każdą nową premierę czekać swojej publiczności dwa lata. Ten okres wypełniają przygotowania do nowej premiery. Sama realizacja przedstawienia trwa zaledwie trzy miesiące. Każdorazowy przyjazd do nowego miasta oznacza dla mistrza i jego zespołu nową premierę. Za każdym razem muszą się dostosować do nowych warunków, co powoduje, że aktorzy nie są znudzeni.

Prywatnie Tomaszewski jest człowiekiem samotnym, tylko teatr daje możliwość obcowania z ludźmi, którzy nie tylko wykonują jego polecenia, realizują wizje pantomimiczne, ale poszerzają twórcę, dzięki czemu czuje się wielokrotnie. Przedłużenie tych działań i celów odbywa się u publiczności. Ona wynosi ze spotkania z jego teatrem część jego samego. Świadomość tego jest mu bardzo potrzebna, nie tylko do dalszej pracy, ale życia w ogóle. Teatr jest dla niego cudownym środkiem okrężnym do pokazania swego ideału. Henryk Tomaszewski szczególnie obawia się dojrzałości, bo ona oznacza osiągnięcie

celu, a to z kolei przekreśla istotę każdej twórczości. Woli być niedojrzały i nigdy nie skończony.



Foto: Bohdan Gadomski

Kiedy w wywiadach wielokrotnie pytałem go o życie prywatne odpowiadał, że jest całkowicie zdominowany pracą i ono w efekcie stanowi margines.

— W ogóle trudno powiedzieć, kiedy jestem prywatny. Wciąż jestem w podróży, wciąż pracuję. Moje życie prywatne samo w sobie nie jest ciekawe.

Mieszka we Wrocławiu, w bardzo ładnym, chociaż starym domu na wyspie Piaskowej, która zewsząd otoczona jest rzeką Odrą. Z okien ma piękny widok. Nie znosi firanek, których zresztą nigdzie nie ma, za to lubi

otaczać się ładnymi przedmiotami, chociaż nie jest kolekcjonerem.

Urodził się w Poznaniu, we Wrocławiu znalazł się przypadkowo. Ma jeszcze drugi dom w górach, bo lubi naturę i góry. Tam jest jego azyl. Dom jest bardziej ze szkła aniżeli z drewna i cegły. Położony koło Karpacza. Gdy siedzi na tarasie może podziwiać Śnieżkę. Dom stoi w ogrodzie, otoczony zewsząd drzewami, których gałęzie wchodzą do okien.

W teatrze i poza nim, Henrykiem Tomaszewskim, opiekuje się oddany przyjaciel, jeden ze starszych mimów, a tych w teatrze coraz mniej, młodzież bywa bardzo efemeryczna i często odchodzi. Tomaszewski nigdy nikogo nie zatrzymuje, nawet najlepszych mimów. Bez niego oni i tak nie istnieją artystycznie. Nie każdy może wytrzymać twardą dyscyplinę w zespole i życie na walizkach. Tomaszewski nareszcie ma konkuren-

cję. Jest nią Teatr Ekspresji, jego byłego mima Wojciecha Misiuro. Tomaszewski nie wnosi już niczego nowego do języka teatralnego. Misiuro prezentuje zupełnie nowy w świecie rodzaj sztuki, jest coraz wyżej notowany na Zachodzie. Tomaszewski jest zaniepokojony, chociaż to inny rodzaj teatru (ruchu, ekspresji). Czas pracuje na jego niekorzyść, Misiuro jest twórcą młodym, dynamicznym... Czyżby zmiana pokoleń?

Bohdan Gadomski

## SOS dla sztuki

# Obraz i ruch

Muzeum Kinematografii w Łodzi oraz Galeria „Pod Kasztanami” Marka Marszałka w Warszawie przygotowały wystawę pod nazwą „Obraz i Ruch”, która odbędzie się w dniach 11-27 bm. w siedzibie Muzeum Kinematografii w Łodzi. Udział w wystawie zapowiedziało ponad 40 warszawskich artystów plastyków.

Wydarzenie to – zapewniają organizatorzy – w zamierzeniu związane z filmem, kinem, łącząc ma różne tendencje i formy sztuki (malarstwo, grafika, rzeźba, instalacja przestrzenna, performance, wideo, muzyka...) oraz stanowiąc przegląd współczesnych awangardowych działań twórczych.

Impreza odbywać się będzie w remontowanym pałacu Scheiblera. Jest to swoista prowokacja dla ratowania tego wspaniałego zabytku, będącego jednocześnie ważnym ośrodkiem polskiej kultury filmowej. Sponsorem, Muzeum Kinematografii proponuje różne formy reklamy.

30 października wystawa zostanie przeniesiona do podłódzkiego Ksawerowa na uroczystość otwarcia pałacu – Centrum Szkolenia, Usług Finansowo-Ekonomicznych i Rekreacji i trwać tam będzie do 15 listopada. Gospodarze pałacu przewidują w dniu otwarcia wystawy aukcję prezentowanych dzieł sztuki.

## Konkurs Fan-Clubu Jacka Wójcickiego

Monika odpowiedziała na pytanie, dlaczego przyjęliśmy nazwę „Corrida”. Dziś wyjaśnię skąd nazwa naszej gazetki „Apokalipsa”. W F-C na początku działalności wybuchła awantura na temat nazwy. Propozycje były trzy: „Corrida”, „Apokalipsa”, „Świr”. Trzecia z nich została odrzucona zaraz po jej wymyśleniu. Taką nazwę przyjęli nasi konkurenci z Oświęcimia. Po głosowaniu zwyciężyła „Corrida”, a druga nazwa dla uczczenia pamięci została tytułem i motywem przewodnim fan-clubowej gazetki.

W Waszych listach i telefonach pojawia się często prośba o konkurs. Wymyśliłem coś takiego, nad czym połamiecie sobie dokładnie wszystkie kończyny. Uwaga! Jaki był pierwszy film, w którym zagrał Jacek Wójcicki? Na odpowiedzi czekamy w F-C równiutko miesiąc od ukazania się pytania. Główna nagroda jest naprawdę kusząca.

Jacek Krysiak

Łódzki Centralny Fan-Club  
Jacka Wójcickiego „Corrida”  
93-038 Łódź, ul. Sanocka 27/13

# Deep Purple w Poznaniu!

„Arena” 23.09.1991

Wiadomość o przyjeździe do Polski legendarnej grupy Deep Purple zelektryzowała fanów rocka, którzy wiele lat czekali na taki koncert. Najpierw podano informację, że grupa wystąpi 13 września w Chorzowie, następnie przesunięto ten termin na 12 września, a występ miał odbyć się w Poznaniu. Lecz na koniec zgodnie z porzekadłem „do trzech razy sztuka” nowa data – 23 września była tą ostateczną. Zapowiadało się na wielkie wydarzenie i ja postanowiłem w nim uczestniczyć.

Podczas długiej podróży kolejną – a ta ostatnio nas nie rozpieszcza i działa w myśl hasła: „drożej znaczy gorzej” – miałem dużo czasu do rozmyślań. Czy grupa – legenda, na której repertuarze wychowało się moje pokolenie „młodych” trzydziestolatków, potrafi choć na czas trwania koncertu wyrwać nas z ponurej rzeczywistości i przenieść w Błogie, młodzieżowe lata? Grupa Deep Purple należała wtedy obok Black Sabbath, Led Zeppelin, Ten Years After, Pink Floyd czy Genesis do zespołów, na których muzyce przebiegała moja edukacja muzyczna. W tamtych latach, takie klasyczne już w tej chwili płyty Deep Purple jak: „In Rock”, „Fireball”, „Machine Head” czy „Made in Japan” były wielkimi przebojami.

Jaki będzie ten koncert? Jaki grupa zaprezentuje program? Czy obok utworów z promowanej, ostatniej płyty „Slaves and Masters” znajdą się też stare hity? Wreszcie czy Joe Lynn Turner potrafi godnie zastąpić Iana Gillana – najlepszego wokalistę w historii tej grupy?

W sobotę poprzedzającą koncert, w audycji Marka Wiernika i Romka Rogowieckiego „Cały ten rock” właśnie Joe Lynn Turner, w rozmowie telefonicznej z autorami programu, zapraszał na

wielkie show ze światłami i laserami. Jednak wtedy już bilety na ten koncert zostały dawno wyprzedane, mimo wysokiej ceny – 155 tys. zł.

Po przybyciu do Poznania, miałem wrażenie, że tego dnia wszystkie drogi prowadzą, do... „Areny”. Tłum fanów z całego kraju, głównie 30- i 40-latków podążał w stronę miejsca, gdzie grupa miała dać jeden jedyny koncert w Polsce.

Godzina 19., sala wypełniona po brzegi, wszyscy czekają na rozpoczęcie koncertu, kilka minut po 19. Romek Rogowiecki informuje publiczność, że grupa Deep Purple znajduje się jeszcze w samolocie na trasie Budapeszt-Poznań, a swój występ rozpocznie około 20.15. Do tego czasu publiczność zmuszona jest do słuchania, nieszczęśliwie dobranego, polskiego trash metalowego zespołu Wolf Spider. Wszyscy przysli na Deep Purple i rozgrzewka w wykonaniu tego zespołu, zafundowana nam przez organizatorów była niepotrzebna.

O 20.15 grupa jednak nie pojawia się na scenie. Później okazało się, że czterech „Purpli” było już gotowych do koncertu, ale Ritchie Blackmore, największa osobowość tego zespołu musiał pokazać fochy gwiazdy – zamknął się w garderobie i przez następne pół godziny – koncentrował się przed występem.

Kilka minut przed 21. zgłosi światło i przy dźwiękach skocznej muzyki wchodzi na scenę długo oczekiwani, ubrani na czarno, bohaterowie tego wieczoru: Ritchie Blackmore, Jon Lord, Roger Glover, Ian Paice oraz Joe Lynn Turner. Na wielkim ekranie pojawia się zdjęcie okładki nowego albumu „Slaves and Master” oraz laserowy symbol składający się z liter D i P. Grupa rozpo-

czynna koncert starym hitem „Burn”. Na widowni wielki entuzjazm i tak już będzie do końca występu. Następny utwór to „Black night” połączony z „Rock’n’rollem” z repertuaru grupy – Rainbow, z solem Blackmore’a na gitarze. Doskonale gra sekcja Glover/Paice, a brzemienie zespołu mimo zmiany wokalisty, jest takie samo jak dawniej. Pierwsze dźwięki organów Hammonda i już wszyscy wiedzą – to wstęp do „Child in time”, jednego z największych klasyków w historii rocka. Publiczność zapala zapałniczki, które w połączeniu ze światłami laserowymi tworzą niepowtarzalny nastrój. Szkoda, że była to tylko skrócona wersja tego tematu. Trudno opisać cały występ, który wraz z trzema wspaniałymi bisami trwał prawie dwie godziny. Program koncertu ułożony został tak, aby obok nowych utworów znalazły się stare hity z klasycznego repertuaru Deep Purple. Grupa postawiła przede wszystkim na stare utwory i obok wcześniej już wspomnianych zagrała „Hush”, „Hey Joe”, „Perfect strangers”, „Knocking at your Back Door”, „Lazy”, „Highway star”, „Smoke on the water” oraz „Woman from Tokyo”. Zespół zaprezentował również fragmenty nowej płyty „Slaves and Masters”. Z utworów nowych na wyróżnienie zasługują „The cut runs deep” oraz ostatni, singlowy przebój grupy – ballada „Love conquers All”.

Kulminacyjny moment koncertu rozpoczął się solowym występem gitarzysty Ritchie Blackmore’a, później dołączył do niego John Lord wykonując fantastyczne solo na organach Hammonda, które zawierało cytaty z różnych gatunków muzycznych. Ta wspaniała i porwijąca gra J. Lorda została nagrodzona przez publiczność gorącą owacją na stojąco. Po tej ciekawej i długiej introdukcji zespół wykonał „Knocking at your back door” oraz „Lazy”, które były popisem R. Blackmore’a. Publiczność bawiła się świetnie i żywo reagowała właściwie na każdy utwór. Największy aplauz wzbudziły utwory zagrane na bis: „Highway star”, „Smoke on the water” – oraz „Woman from Tokyo”. Te dwa ostatnie utwory 5-tysięczna publiczność śpiewała na cały głos wraz z Joe Lynn Turnerem. Towarzyszył temu prawdziwy fajerwerk utworzony z laserowych światel. Bawili się dosłownie wszyscy!



Potem już tylko ukłony, komplementy Lorda pod adresem publiczności i prawie dwugodzinne spotkanie z zespołem Deep Purple należy już do przeszłości. Grupa nie zawiodła. Niemal wszystkie utwory były dłuższe w porównaniu ze studyjnymi oryginałami. Pięciu panów, z których czterech ma metryki prawie emerytalne (ale nie czują się i nie wyglądają na emerytów) dało koncert, który wszystkim obecnym pozostanie długo w pamięci. Bohaterami wieczoru byli przede wszystkim: gitarzysta Rickie Blackmore oraz grający na instrumentach klawiszowych Jon Lord. Nowy wokalista Joe Lynn Turner nie jest na pewno wokalistą klasy Iana Gillana. W niektórych utworach wypadło nawet dość słabo (np. „Highway star”). Ale okazał się niezłym showmanem, który potrafi szybko nawiązać kontakt z publicznością i wciągnąć ją do wspólnej zabawy.

Szkoda, że grupa nie wykonała takich klasyków jak: „Space truckin’”, „Strange kind of woman”, „Demon’s eye” czy „Mistreated”, ale mimo to wszyscy wychodzili z „Areny” – zadowoleni.

Kto nie był niech żałuje, takie przeżycia zostają w pamięci na długo, takich wspomnień nikt nam nie odbierze.

Andrzej Woszczyk

## Dawna Łódź

## Miasto w tunie pożarów

„Łódź najdawniej, Łódź ponurego dzieciństwa widzę zawsze w tunie pożarów. Nocami jakże często budziło nas wycie („dulczenie”) syreny fabrycznej i po krótkim czasie rozlegał się turkot wozów pożarnych pędzących po kocich łbach ulicy, stukot kopyt końskich, trąbki i dzwonki straży ogniowej. (...)”

Ojciec w sąsiedniej sypialni zapalał świecę i wstawał z łózka. Obchodził całe mieszkanie, odstawiał rolety, z halasem otwierał drzwi balkonowe. (...)”

Gdy wracał ze swojej inspekcji, styszałam przez drzwi, jak mówił, że pali się gdzieś za Radwańską lub w okolicach Widzewa czy kolei kaliskiej, że na niebie widać wielką tunę. (...)”

## Czy wraz z kapitalizmem powrócą pożary na zamówienie?

## W ogniu był ratunek

Pewnego razu paliła się fabryka Langego, tuż nie opodal, przy rogu Andrzeja i Długiej. Tej nocy wszyscy byli na nogach. Matka kazała nas ubierać. W pośpiechu pakowała jakieś rzeczy do koszyka, szukała kluczy... Okna sąsiednich domów jarzyły się odblaskiem ognia. Gdy stanęliśmy w otwartym oknie ogarnął nas żar buchający z płonącego budynku. Fabryka Langego stała w płomieniach. Kłęby bawełny jak race strzelały w górę i przelatwały przez dach naszego domu. Groził mu pożar. Przed domem na dole stał wóz strażacki. (...)”

Dopiero nazajutrz rano, idąc do szkoły, przekonałam się naocznie, jakich spustoszeń dokonał. Z fabryki Langego pozostały tylko mury, a całe wnętrze wypalone było do cna”.

Tak łódzkie noce w tunach pożarów opisała Irena Tuwim w książce „Łódzkie pory roku”. Ale to był początek XX wieku, gdy Łódź była już wielkim przemysłowym miastem. Miała też straże ogniową.

## Wszystko, co się łatwo pali

Stara, dawna Łódź, jeszcze XIX-wieczna, była drewniana, a w murowanych fabrykach było pełno bawełny, tkanin, farb i innych łatwopalnych środków. Wystarczyło drobne zaprószenie ognia, aby nie tylko całe fabryki poszły w dymem. Starano się więc o powołanie straży ogniowej, ale bezskutecznie. Władze rosyjskie nie wyraziły zgody. Dopiero fala pożarów, jaka nawiedziła Łódź w 1874 roku, zmusiła do rewizji tego stanowiska. Naczelnik powiatu łódzkiego Otto von Oetigen powołał komitet organizacyjny, w skład którego weszli przede wszystkim przemysłowcy. Ogień czynił im ogromne straty, chociaż... nie zawsze.

We wrześniu 1875 roku powołano tymczasowy zarząd oraz zebrano fundusze. Pierwszym komendantem Ochotniczej Straży Ogniowej został Ludwik Grohman, jego zastępcą Jan Jarzębowski. Sprobowano instruktora z Wiednia oraz tam zamówiono mundury i sprzęt. Mundury były czarne ze srebrnymi szlifami dla oficerów, epoletami dla szeregowców, z kaskami przypominającymi pikielhauby. Władze rosyjskie zabroniły jednak używania tych mundurów. Z czasem zgodzono się tylko na to, aby strażacy gasili pożary w... mundurach, ale nie wolno im było w nich paradować. Dopiero po 10 latach zgodzono się, aby strażacy używali swoich mundurów, defilować w nich nadal nie mogli.

Pierwszy egzamin zdali strażacy łódzcy 20 maja 1876 roku przy gaszeniu pożaru drukarni w fabryce Hoffrichtera. W akcji gaszenia pożaru brały udział wszystkie trzy oddziały łódzkiej straży ochotniczej. Ich sprawność wzbudziła podziw władz Łodzi. Tego samego dnia drugi oddział Ochotniczej Straży Ogniowej zgasił pożar w posesji R. Döhmasa.

Od 1884 roku zaczęły powstawać w Łodzi oddziały straży fabrycznej. Pierwszy taki oddział powstał w fabryce Karola Scheiblera. W zakładach Izraela Kalmanowicza Poznańskiego oddział straży ogniowej fabrycznej powstał w 1889. W sumie w pierwszych latach XX wieku – razem z oddziałami Ochotniczej Straży Ogniowej – istniało w Łodzi 15 oddziałów straży. Z tym, że straż ogniowa fabryczna była zobowiązana nie tylko do udziału w gaszeniu pożaru poza macierzystą fabryką, ale też zajmowała się utrzymaniem porządku i spokoju w fabryce, strzegła mienie fabrykanckie przed kradzieżą, a niekiedy nawet bezpieczeństwa samego fabrykanta.

Plaga pożarów w Łodzi zmuszała łódzką straż pożarną do nieustannego doskonalenia swoich umiejętności. W 1928 roku oddział straży ogniowej z Łodzi pod kierownictwem inż. Tadeusza Brzozowskiego zdobył pierwsze miejsce i złoty medal na zawodach strażackich w Turynie. Limit czasu dla wykonania strażackiej akcji wynosił 45 minut. Łódzcy strażacy wykonali tę akcję w 9 minut.

## On musiał się spalić

Pożary niszczyły majątek fabrykantów. W 1876 roku spaliła się przędzalnia Izraela Kalmanowicza Poznańskiego na 36 000 wrzecion. Pożary były plagą. Ale od 1880 roku stały się też... ratunkiem. Do tego roku było około 20 pożarów rocznie. Od 1881 roku liczba pożarów najpierw się podwoiła, później potroiła, a od 1990 roku wzrosła dziesięciokrotnie.

W 1911 roku Zygmunt Bartkiewicz opublikował w „Tygodniku Ilustrowanym” reportaż pt. „Dzień roboczy”. Jest tam następująca scena:

„Obok, przy biurkach, buchalter z pomocnikiem szepczą:

– Ciężko płacą, obstalunków nie ma. Goldstift nie dyskontuje. Towar gdzieś idzie, na fałszywe conta...

– Ogień. Wielki czas.

– Nie, plaża. Pozyje idą na plażę.

– A potem?

– Ganz einfach. Zięć otworzy dla niego drugi interes, urządzi się asekuracja na wyłączenie – może będzie kawałek ognia, ale nie zaraz”.

Brzmi to tajemniczo, ale wyjaśnienie znajdujemy w „Ziemi obiecanej” Władysława Reymonta. Karol Borowiecki właśnie się obudził i pyta służącego:

– „Co słycać na mieście? (...)”

– Ano nic, ino zaś na Gajrowskim Rynku zagali robotnika.

– Dosyć, ruszaj.

– Ale, spaliła się też fabryka Goldberga na Cegielnianej. Nasza straż jeździła, ale wszystko dobrze poszło, ostatek tylko mury. Z suszarni poszedł ogień”.

Więść tę Karol Borowiecki zaniósł do Morica Welta.

– „Wiesz, Goldberg się spalił dzisiaj w nocy, i to zupełnie „na glanc”, jak Mateusz mówi...”

– Dla mnie to nie nowina – odpowiedział ziewając.

– Skąd wiedziałeś?

– Ja miesiąc temu wiedziałem, że on się potrzebuje spalić. Dziwiłem się nawet, że tak długo zwleka, przecież procentów mu nie dadzą od asekuracji.

– Miał dużo towaru?

– Miał dużo zaasekurowane...

– Bilans sobie wyrównał.

– Roześmieli się obaj szczerze”.

Sposób był zatem bardzo prosty. Upadające fabryki były wysoko ubezpieczone, byli też specjaliści od takiego podkładania ognia, aby nikt nie mógł zarzucić umyślnego podpalenia. Wybuchł więc pożar, którego wszyscy się spodziewali. Towarzystwa asekuracyjne wypłacały odszkodowanie i taki bliski plałty fabrykant stawał na nogi.

5 lutego 1922 roku wybuchł wielki pożar w Widzewskiej Manufakturze. Tego dnia był duży mróz i silny wiatr. Wiatr roznosił ogień, a mróz uniemożliwił zierpanie wody z fabrycznych stawów. Wozy strażackie musiały jeździć do śródmieścia po wodę. Starania strażaków nie zdały się na nic. Przędzalnia sponęła doszczętnie. Na miejsce pożaru przybył Oskar Kon – właściciel Widzewskiej Manufaktury. Na widok pożaru zemdlał. Stało się to powodem plotek. Zarzucano mu, że udał zemdenie, aby nie budzić podejrzeń. Stało się odwrotnie. Ludzie zaczęli właśnie podejrzewać, że przędzalnię podpalono, aby uzyskać wysoką asekurację. Inne pogłoski sugerowały, że pożar był wynikiem zwarcia w sieci elektrycznej. Prawdy nie ustalono.

Niekwestionowaną natomiast prawdą był fakt, że Oskar Kon otrzymał z Anglii wysokie kredyty, pobudował przędzalnię jeszcze większą i nowocześniejszą, pokonał konkurentów, zdobył rynki wewnętrzne, a także na Bałkanach oraz we francuskich koloniach. Gdy w 1928 roku Ilja Erenburg zwiędzał Widzewską Manufakturę, zatrudniała ona 10000 robotników i była kwitnącą fabryką w zaatakowanej kryzysem Łodzi.

Pożar Widzewskiej Manufaktury w lutym 1922 roku zwrócił uwagę władz miasta na bardzo złe wyposażenie łódzkiej straży ogniowej. Posługiwała się ona jeszcze zaprzęgami konnymi, nie miała nowoczesnego sprzętu. Dopiero wtedy zamówiono w Wiedniu samochody strażackie i unowocześniono jej wyposażenie.

Pożary na zamówienie były też metodą walki z konkurencją, a niekiedy służyły jako sposób zemsty na kimś, kto naraził się innym. Były one związane z drapieżnym kapitalizmem XIX-wiecznym, który nie skończył się wraz z nadejściem XX wieku, a który w zupełnie nowej formie powraca dziś. Czy zatem dziś, gdy większości łódzkich fabryk grozi plałta, powrócą pożary na zamówienie?

Jerzy Glinik

## Jak „czerwoni władcy z pl. Wolności” przywłaszczali

## Aferzyści z pożółkłych kart gazet

Francis Gayot de Pitaval żył w latach 1673 – 1743 i odkrył zainteresowanie ludzi sprawami kryminalnymi. W 20 tomach spisał „Słynne i ciekawe procesy”. Jego nazwisko stało się nazwą określonego gatunku literatury – opisywania ciekawych procesów. Stanisław Szenic napisał „Pitaval Warszawski”. Jerzy Urbankiewicz wydał „Prawie pitaval” – opisyujący kilka znaczących zbrodni i przestępstw w historii Łodzi. Ludzie interesowali się, interesują się i będą się interesowali przestępstwami, aferami i zbrodniami. Dziennikarze dobrze wiedzą, że nie tak nie ożywia gazetę jak trup. Tytuły przedwojennych gazet oczekiwały krwi. Dziś w niektórych pismach też pełno tego. I relacji o różnych aferach.

A jak to było dawniej?

## Niebezpieczny aferzysta

Czytelnicy „Głosu Polskiego”, którzy otworzyli tę gazetę 5 lipca 1929 roku znaleźli tam tytuł: „Arestowanie niebezpiecznego aferzysty”. Z tekstu pod tym tytułem dowiedzieli się, że Chaim Nakielson był właścicielem tartaku gdzieś na Kresach Wschodnich, ale dopadł go kryzys budowlany i tartak musiał sprzedać. Przeniósł się więc do Warszawy, gdzie zamieszkał w domu przy ulicy Żelaznej. Był to człowiek niepokojny i nosiło go po kraju. Pojechał też do Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie spotkał Apolonie Suską i zakochał się. Miał wprawdzie już prawnie poślubioną małżonkę oraz dzieci, ale oni byli w Warszawie, a Apolonia Suska w pięknym mieście Piotrkowie Trybunalskim. Dla Chaima Nakielsona jedno drugiemu nie przeszkadzało. Gorzej, że nie miał pieniędzy.

Wówczas – podobnie jak i dziś – wielu firmom i ludziom brakowało pieniędzy. Wystawiano więc weksle. Weksle musiały mieć pokrycie. Weksle Chaima Nakielsona nie miały pokrycia, gorzej nawet: one były całkowicie fałszywe. Za te fałszywe weksle Chaim Nakielson nakupował towaru, zawiózł go do Warszawy i tam sprzedał. Miał już pieniądze. Weksle poszły do protestu i okazało się, że są fałszywe. Policja zaczęła poszukiwać Chaima Nakielsona. Bez skutku.

Wtedy pojawiła się prawowita żona Chaima Nakielsona, której ktoś zyczliwy doniósł, że jej mąż zażywa szczęścia z Apolonią Suską i wybiera się z nią w daleką podróż zagraniczną. Pani Nakielsonowa pobiegła z tymi wiadomościami na policję. Policja zaczęła się na zakochaną parę i ujęła ich. Znalezione przy nich nie tylko paszporty z ważnymi wizami, ale 400 dolarów, 280 złotych i 1500 marek.

Gdy czytalem tę wiadomość w pożółkłych numerach „Głosu Polskiego”, pomyślałem sobie, ileż Chaim Nakielson mógłby się nauczyć

dziś choćby od takiego Lecha Grobelnego. A jego wówczas – w 1929 roku – nazwano niebezpiecznym aferzystą.

## Ucieczka przed wierzycielami

Izrael A. Ajzenberg miał niewielki zakład pończosniczy „Tip-Top”. Miał 45 warsztatów i kilkunastu robotników. Czasy nie były najlepsze, zaczynał się już wielki kryzys, fabryczce „Tip-Top” groziła upadłość. Wierzycielami I. A. Ajzenberga byli Herman Rubin i firma „B. Bisbreg”. Wierzyciele domagali się pieniędzy, a I. A. Ajzenberg ich po prostu nie miał. Wierzyciele wynajęli adwokata Adolfa Markowicza, aby ten domagał się ogłoszenia upadłości firmy I. A. Ajzenberga, co równało się wystawieniu jej majątku na licytację.

Izrael A. Ajzenberg postanowił ratować się. Zmienił nazwę firmy na: „Izrael A. Ajzenberg i S-ka”. Nowa firma odzyskiwała się od dawnej i nie miała zamiaru spłacać jej długów. Ale sąd był innego zdania i ustanowił komisarzem firmy sędziego Kazimierza Kona, a kuratorem adwokata A. Kalickiego. Właściciel natomiast powędrował do aresztu.

## „Głos Polski” nie kochał PPS

Dziennikarze „Głosu Polskiego” nie kochali PPS i uważnie przyglądali się wszystkiemu, co się tam dzieje. Na początku sierpnia 1929 roku wykryli aferę. W związku pracowników Kasy Chorych zatrudnieni byli dwaj członkowie PPS: Henryk Łuczowski i Władysław Barański. Zajmowali się oni sprawami finansowymi. Ich „gospodarka” naraziła związek na 29000 złotych strat.

PPS miała wtedy swoją milicję, a milicja miała umundurowanie. Henryk Łuczowski kupił mundury dla milicji i zapłacił za nie weksłami poręczonymi przez związek zawodowy pracowników Kasy Chorych w Łodzi, które następnie miała wykupić PPS. Ale – jako, że kryzys narastał – PPS zbankrutowała i ogłosiła niewypłacalność. Kupcy mieli weksle, ale nie mogli dostać za nie pieniędzy. Poza tym Henryk Łuczowski nie księgował wpływów oraz nie płacił należności za węgiel i inne artykuły.

Dziennikarze „Głosu Polskiego” wytopili też, że onże Henryk Łuczowski miał już dokonać wcześniej malwersacji w PPS na Widzewie, ale że ktoś za nim stał i to wysoko postawiony – wówczas też tak bywało – to dostał lepszą pracę w związkach zawodowych pracowników Kasy Chorych w Łodzi. Na zebraniu członków tego związku postanowiono, że się wszyscy opodatkują po 600 zł, aby spłacić długi. Ale ludzie zaczęli wypisywać się z takiego związku.

## Obdarowali miasto

Trudne są rozstania z pamiątkami, z książkami, gromadzonymi od lat. Do takich rozstań dochodzi, gdy nagle zabraknie spadkobiercy, a tym, którzy zostają, obce są kolekcjonerskie upodobania. Rodzi się wówczas przekonanie, że kolekcja ulegnie rozproszeniu, lub, co gorzej, ztratnie.

Takie myśli towarzyszyły pod koniec pracowniczego życia krakowskiemu publicyście i literatowi Kazimierzowi Bartoszewiczowi (1852-1930), który odziedziczył kolekcję dzieł sztuki, ksiąg i rękopisów po dziadku Adamie (1794-1878), wizytatorze szkół w Warszawie i ojcu Julianie (1821-1870), znakomitym historyku, uzupełniał ją kolejnymi nabytkami, lecz nie miał ich komu przekazać po śmierci żony i kilkorga dzieci.

Zbiory spoczywały w dwupokojowym mieszkaniu pisarza w Krakowie i „wypełniały do tego stopnia wnętrza, że do łózka, do stojącego przy nim stołu i biurka pod oknem mógł się starzec dostać tylko z trudem przez wąski korytarz wśród stosów książek i czasopism, przy czym idąc strącał każdym swym nieostrożnym ruchem ze stosów poszczególne książki, numery pism i kartki rękopisów. Do drugiej sali w ogóle nie podobna się było dostać, nie deptając przy tym po książkach i cennych rękopisach”.

Był to już ostatni dzwonek dla ochrony przed zatarciem kolekcji, na którą czyhali amatorzy staroci i pospolicci złodzieje. Kazimierz Bartoszewicz pragnął jeszcze za życia zapewnić zbiorom, w skład których wchodziła niewielka galeria portretów rodzinnych i kilkadziesiąt obrazów polskich i obcych, takie miejsce, w którym mogłyby nadal służyć miłośnikom sztuki i literatury. Nie zapomniał takich warunków Biblioteka Jagiellońska, w której należało się spodziewać rozbięcia zbiorów i wyłączenia dubletów. Biblioteka nie była też za-

interesowana dziełami sztuki i pamiątkami rodzinnymi, na które i krakowskie muzea nie reflektowały.

Dzielił się starzec swymi niewesołymi myślami z młodszym o ćwierć wieku Przemysławem Smolikiem (1877-1947), który jako żarliwy bibliofil i literat, jak mało kto rozumiał niepokój właściciela kolekcji. Tak się złożyło, że Przemysław Smolik przeniósł się w 1926 r. do Łodzi, gdzie 18 czerwca 1928 r. został ławnikiem i przewodniczącym Wydziału Oświaty i Kultury łódzkiego Magistratu. Poznawszy stan łódzkich muzeów i bibliotek nakłonił Kazimierza Bartoszewicza do przekazania pozbawionej tradycji kulturalnej i dostępu do dzieł sztuki Łodzi rodzinnej kolekcji. Stary pan żądał tylko przejścia kolekcji w całości, nadania jej miana „Zbiorów im. Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów”, uporządkowania ich i udostępnienia zainteresowanym na miejscu. Przemysław Smolik wniósł sprawę legatu na posiedzenie Rady Miejskiej 21 listopada 1928 r. Rada przychyliła się do wniosku Magistratu i postanowiła przyjąć na rzecz Gminy Miejskiej Łódź w drodze darowizny zbiory Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów.

Kolekcja miała być przewieziona do Łodzi do 1 kwietnia 1929 r., ale trudności z ewidencją i transportem sprawiły, że znalazła się w Łodzi już po śmierci darczyńcy. 13 IV 1930 r. udostępniono publiczności ekspozycję obrazów olejnych, akwarel i rysunków z kolekcji Bartoszewiczów, w niedzielę 1 października 1933 r. została otwarta czytelnia przy bibliotece i dziale rękopisów Miejskiego Muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów w Łodzi, przy pl. Wolności, w dawnym ratuszu miejskim. Zbiory ulegały powiększeniu o dary łodzian. Eugeniusz Ajenkiel ofiarował 720 druków z pierwszych lat niepodległości, przeważnie odezwy i ogłoszeń, a Włodzisław Pfeiffer, kierownik księgarni S. Seipelt, 5161 druków z okresu wojny i inwazji bolszewickiej, m.in. pismo „Placówka”, wydawane przez I Korpus w Bobrujsku, oraz odezwy ostawionego majora Preuskierra, zdarte z murów Kalisza. Gertruda Ramisch przekazała do Muzeum kolekcję pasów słuckich, cenne tkaniny i stroje z XVIII w.

Andrzej Kempa

## sobie rządowe sukcesy

## Filantropi z placu Wolności

„Hasło Łódzkie” też nie kochało PPS, a właśnie ta partia rządziła w Łodzi w 1930 roku. „Hasło Łódzkie” postanowiło zdemaskować „czerwonych władców z placu Wolności”. 8 maja 1930 roku ukazały się na łamach „Hasła Łódzkiego” takie oto tytuły:

„Filantropi z cudzej kieszeni”  
„Jak Magistrat łódzki bierze na swe barki zasługi rządowe”  
„Zbędne „interwencje” i „konfrontacje” Prezydium Magistratu w Warszawie”  
„Czerwoni władcy z placu Wolności w Łodzi lubią amerykańską reklamę”.

Są to wszystko tytuły do jednego artykułu o pracy Magistratu. Gdy dziś się to czyta, gdy porównuje się z nieśmiałyimi pretensjami prasy łódzkiej pod adresem „władców z ulicy Piotrkowskiej” – używając ówczesnego pojęcia – to odnosi się wrażenie, że zupełnie nie ma się o co obrażać. Ale kto dziś czyta stare gazety? No to proszę zapoznać się z fragmentami tekstu, jaki znajdował się pod cytowanymi wyżej tytułami:

– „Baczność towarzysze! Prezydent miasta Łodzi „ w y a l c z y ł ” zapomogi dorazne!...  
Uwaga bezrobotni! Wiceprezydent dr Wieliński osobiście interweniował w Ministerstwie Pracy,

gdzie „udało mu się” zdobyć środki na zatrudnienie bezrobotnych”.

Wszystkie podkreślenia w tekście autora, który podpisał się literką Z. Zarzucił on Magistratowi, że zamiast wykazywać własną inicjatywę w zwalczaniu bezrobocia, które się wówczas szerzyło, korzysta z pieniędzy rządowych. Rząd i tak przeznacza te pieniądze na walkę z bezrobociem, a kierownictwo Magistratu korzysta z nich i przypisuje sobie to jako własne zasługi.

W kilka dni później (16.05.1930) tenże dziennik „Hasło Łódzkie” w tytułach do sprawozdania z obrad Magistratu napisał: „Czas już skończyć z polityką ogłoszeniową”. W tekście natomiast zacytowano wypowiedź posła Waszkiewicza.

„Jaskrawym przykładem rozrzutności magistrackiej jest kwestia płatnych ogłoszeń licytacyjnych. Z ogłoszeń owych – oświadczył poseł Waszkiewicz – zrobiono fundusz subwencyjny dla pewnego odłamu prasy”.

Poseł Waszkiewicz podał też, że „Łodzianin” – pismo PPS – i bundowski „Łodzer Wecker” pobrali z kasy Magistratu 100 000 złotych, co wówczas było poważną kwotą. Pisma innej orientacji politycznej takich ogłoszeń nie otrzymywały. „Hasło Łódzkie” postuluowało, aby ogłoszenia takie publikować tylko w „Dzienniku Zarządu m. Łodzi”, ale z propozycji tej nie skorzystano. Ogłoszenia te otrzymały też inne pisma.

Była jeszcze w 1930 roku wielka afery z poborowymi. Ale o tym przy innej okazji.

Benedykt Pazik

## GŁOS POLSKI

## HASŁO ŁÓDZKIE

Pismo codzienne. Powstało po przejęciu przez Marceliego Sachsa wydawnictwa „Godziny Polskiej” – pisma wydawanego pod panowaniem Niemców i współpracującego z nimi. Marcele Sachsa oskarżony był o kolaborację z Niemcami. Utrzymał się jednak przy wydawnictwie i „Głos Polski” wychodził do 1930 roku, gdy ze sprzyjających okoliczności skorzystała grupa Jana Urbacha i przejęła pismo zmieniając tytuł na „Głos Poranny”. Wznowiony po jakimś czasie „Głos Polski” oskarżył „Głos Poranny” o kradzież.

Przez pewien czas „Głos Polski” związany był ze Stronnictwem Niezawisłości Narodowej, ale partia ta nie znalazła społecznego uznania. Uznawany był za zwolennika obozu belwederskiego.

Łódzka prasa w swojej większości nieprzychylnie była ustosunkowana do przewrotu majowego w 1926 roku. Sanacja uznała, że powinna mieć własne pismo. Wydawcą stało się Towarzystwo Rzemieślnicze „Resursa”. Pismem kierował Stanisław Targowski, redaktorem odpowiedzialnym był Michał Walter.

Przed wyborami do Sejmu i Senatu w 1928 roku pismo wspierał kandydaci na posłów i senatorów z obozu sanacji. Po wyborach subwencje ustały. Pismo borykało się z trudnościami. Długi jego wzrosły do 600 000 zł. Przestało wychodzić w styczniu 1931 roku.

Dawna Łódź

## Podłódzkim miastom nadano carskie imiona

## Aleksandrów i Konstantynów

Równocześnie z Łodzią i Zgierzem rozwijały się inne osady rękodzielnicze. Jedną z nich powstała w 1818 r. na gruntach gminy Bruzyca Wielka i została zasiedlona przez sprowadzonych z Niemiec rękodzielników. Dla uczczenia cara Rosji i zarazem króla Polski Aleksandra I nadano jej miano Aleksandrów. A. K., autor „Krótkiego rysu historyczno-statystycznego województwa mazowieckiego” (1825), podkreślał szybki rozwój osady. W 1821 r. znajdowało się tam 118 domów, zamieszkałych przez 739 osób, a w trzy lata później miasteczko liczyło 340 domów (w tym dwa murowane) i prawie 3000 mieszkańców (chrześcijan 2440, Żydów 515). W 1858 r. liczba mieszkańców zmniejszyła się nieco, lecz potem systematycznie wzrastała. Tkacze miejscowi, przeważnie chałupnicy, produkowali wyroby z materiałów powierzonych im przez fabrykantów łódzkich i na ich zlecenie. Kondycja miasteczka, zdegradowanego później do osady, była kiepska.

„Chociaż dotąd Konstantynów nie jest miastem, lecz tylko osadą rękodzielniczą, więcej przeciw niż Poddebice postąpił” – zauważył wspomniany już autor „Krótkiego rysu”. Pierwotna osada sukienicza powstała na terenie dóbr Żabice, należących do Mikołaja Okołowicza, szambelana JKMcI Stanisława Augusta Poniatowskiego. W spisie wsi Królestwa Polskiego z 1827 r. Konstantynów był jeszcze wsią rządową, ale już w roku następnym uzyskał prawa miejskie. Nazwę zawdzięczał serwilizmowi imię szambelana, pragnącego się przypodobać cesarskiemu bratu, wielkiemu księciu Konstantemu – wielkorządcy Królestwa Kongresowego. W 1860 r. Konstantynów miał już 263 domy (w tym 4 murowane) i 3238 mieszkańców. Utraciwszy prawa miejskie Konstantynów stał się osadą przemysłowo-fabryczną. Powstały tu fabryki wyrobów wełnianych, tkalnie sukna, pończoszarnie, farbiarnie, działali sukienicy, tkacze, szewcy, krawcy i garbarze, zrzeszeni w połowie XIX w. w ośmiu cechach. Miejscowy fabrykant sukna Godfryd Wende sprowadził pierwszy w Królestwie warsztat patentowy do tkania trykotów. Osadę zamieszkiwali głównie Niemcy i Polacy, Żydów było niewielu i zajmowali się handlem.

Na mocy ukazu carskiego z 1 czerwca 1869 r. obydwie miasta „z powodu nieznacznej ilości mieszkańców, małego rozwoju handlu i niedosta-

teczności dochodów” zostały zdegradowane do roli osad. Aleksandrów włączono do gminy Bruzyca Wielka, Konstantynów do gminy Rszew. Prawa miejskie Konstantynów odzyskał 1 stycznia, Aleksandrów – 5 marca 1924 r.

Konstantynów został niemal zrównany z ziemią podczas trwających przez trzy tygodnie działań wojennych w listopadzie 1914 r. Odbudowa miasta trwała dość długo, lecz burmistrz Władysław Dolecki dokładał starań, by miasto wróciło do dawnego znaczenia. Dopiero 16 grudnia 1933 r. na pl. Tadeusza Kościuszki zapłonęły pierwsze żarówki elektryczne i zajaśniało światło w 65 mieszkaniach.

Tak się złożyło, że Aleksandrów i Konstantynów przyjęły nazwy od imion dwojga braci – synów cara Pawła I, jedynie car Mikołaj I Pawłowicz, najmłodszy z braci, nie zaszczylił żadnego ze znaczących miast Królestwa swoim imieniem. Dotychczas nikt z chwałców cara despoty nie poniżył się do tego stopnia, by proponować przemianowanie już istniejącego miasta na Mikołajew dla dogodzenia carskiej próżności. 13 stycznia 1846 r. grupa lojalnych łódzkich przemysłowców skierowała do Petersburga suplikę najpokorniejszą o nadanie Łodzi nazwy Mikołajew. Car odrzucił projekt, zaś jeden z jego urzędników zauważył, iż „projekt przemianowania Łodzi na Mikołajew jest o tyle niefortunny, iż na południu Rosji znajduje się już jedno miasto, specjalnie ulubione przez cara Mikołaja, więc tworzenie nowego miasta o podobnej nazwie może być niefortunne”. Łódź pozostała Łodzią, zaś autorzy memoriału mogli co najwyżej jeździć na wilegiaturę do Mikołajewa, wioski w pobliżu miasta na trakcie aleksandrowskim. Dziś ów Mikołajew jest częścią Łodzi na obrzeżu Bałut.

Przed wojną myślno o przemianowaniu Konstantynowa na Staszyców a Aleksandrów na Rembielin dla zatarcia śladów przeszłości i uhonorowania pionierów rozwoju przemysłu krajowego: Stanisława Staszica i Rajmunda Rembielińskiego. Nasi przodkowie mniej byli skorzy do zmian nazewnictwa, więc Konstantynów i Aleksandrów pozostały nadal na mapach województwa.

Konstanty Borowiec

## REKLAMA

INTER BAZAR®  
Spółka z o.o.

... to licencjonowany, jedyny i wyłączny  
dystrybutor na Polskę  
znakomitej duńskiej firmy

**Sadolin**

z siedzibą w Kopenhadze  
Sadolin Nobel A/B to firma z ogromnymi tradycjami  
Rok założenia – 1777!!!

Firma, która jest częścią wielkiego koncernu chemicznego NOBEL CASCO, posiada przedstawicielstwa w Japonii, Afryce, Kanadzie, na Bliskim Wschodzie, w całej Europie, z wyjątkiem Czechosłowacji i Malty. Polska jest po Wlk. Brytanii i Irlandii trzecim co do wielkości importerem jej słynących ze znakomitej jakości produktów. Jedynym przedstawicielem Sadolinu na Polskę jest właśnie –

INTER – BAZAR  
z siedzibą w Warszawie  
Biuro Handlowe: 01-018 Warszawa ul. Wolność 7/9  
tel. 38-82-57, 38-89-00  
tlx: 817740 inbaz pl

PROWADZIMY SIĘĆ 42 SKLEPÓW W CAŁEJ POLSCE!  
oraz HURTOWNIE W WARSZAWIE, KRAKOWIE,  
POZNANIU, ŁODZI i BIAŁYMSTOKU

W sklepach firmowych w Łodzi:  
● ul. Łagiewnicka 45a ● ul. Wschodnia 62 ●  
oraz w sklepie przy ul. Piotrkowskiej 31  
oferowane są wyłącznie produkty renomowanych firm:

SADOLIN NOBEL A/B, MIPA – Paul Mittermayer GmbH, FEIDAL GmbH

- farby kryjące do drewna, metalu, muru
- impregnaty koloryzujące do drewna
- lakiery do parkietów, boazerii, mebli
- emulsyjne farby fasadowe (zewewnętrzne i wewnętrzne)
- środki do zabezpieczania drewna
- pianki poliuretanowe do osadzania drzwi i okien
- silikonowe masy uszczelniające
- farby ognioodporne
- farby ozdobne (np. imitujące surowy kamień lub kutą miedź) do malowania kominków, grzejników, fundamentów, dachów, rynien itp.
- farby fluorescencyjne
- ozdobne tynki akrylowe



Sprzedawane przez Inter-Bazar produkty odpowiadają światowym normom ekologicznym. Nie zawierają ołowiu, formaldehydu, aniliny i innych szkodliwych substancji chemicznych.

Lakiery akrylowe są nietoksyczne, wodorociekalne, bez zapachu. Wszystkie preparaty posiadają atesty Państwowego Zakładu Higieny. Producenci dają na nie wieloletnie gwarancje, co jest ewenementem wśród firm chemicznych! W sklepie można zobaczyć próbki do wglądu. Możliwe jest także wykonywanie próbek na miejscu – na życzenie klienta!

Sprzedawcy Inter-Bazar to profesjonalści. Wszyscy mają za sobą praktykę w Sadolinie, w Danii.

PS. Firma ostrzega nabywców przed zakupem towarów ze znakiem Sadolin poza siecią sklepów Inter-Bazar. W imieniu producenta Inter-Bazar nie ponosi odpowiedzialności za te wyroby, pochodzące najczęściej z produkcji na rynek radziecki.

**NAJTAŃSZĄ REKLAMĘ, SZYLD, ITP.**

wykonasz samodzielnie kupując u nas

**ZESTAWY LITER SAMOPRZYLEPNYCH!**

- Bogaty zestaw kolorów
- Różne rozmiary i kroje
- Łatwy montaż

Sprzedaż hurtowa i detaliczna:

**ŁÓDŹ, ul. Żwirki 17, tel. 36-42-44 w. 154**  
**ul. PRZYBYSZEWSKIEGO 197/205, tel. 81-86-16**

W SKLEPACH TYCH KUPISZ NAJTANIEJ  
 WSZYSTKIE MATERIAŁY POLIGRAFICZNE



**ŁÓDŹ**

**RESTAURACJA VICTORIA**

Łódź, Piotrkowska 75 (w Alei Rubinsteina) tel. 32-99-83 – czynna od godz. 12-tej do północy

Proponujemy dania międzynarodowe oraz potrawy z grilla.  
 W dni pogodne czynny taras. Organizujemy przyjęcia i bankiety

**SERDECZNIE ZAPRASZAMY**  
 koneserów dobrej kuchni i smakoszy

**Przedsiębiorstwo**

**Handlowo-Usługowo-Produkcyjne**



Starowa Góra, ul. Okienna 8, tel. 14-12-65  
 Sklep Firmowy: Łódź, ul. Pojezierska 2/6  
 – pawilon I piętro tel. 55-30-36

**OFERUJE:**

- stylowe drzwi mahoniowe
- euro-okna
- listwy konstrukcyjne i wykończeniowe
- glazurę (sklep)
- boazerie

**POSZUKUJE DOSTAWCÓW:**

boazerii, tapet, wykładzin podłogowych,  
 narzędzi i innych artykułów  
 wykończeniowych

**AUTOALARMY BAJERNE:**

montaż, sprzedaż detaliczna i hurtowa

**Terminy ekspresowe**

**ŁÓDŹ, UL. RADWAŃSKA 63/65**

**ZDROWOTNE MATY BAMBUSOWE**

na fotele samochodowe (hurt i detal)

**NOWOCZESNE BAGAŻNIKI SAMOCHODOWE**

sprzedaż również w sobotę – ŁKS  
 w niedzielę – Giełda samochodowa

**Firma TOBIK ● Firma TOBIK ● Firma TOBIK ● Firma TOBIK**

- |  |   |
|--|---|
| ■ FOTELE SAMOCHODOWE – naprawa i przeróbka | ■ ZAMKI CENTRALNE i elektryczne PODNOŚNIKI SZYB |
| ■ Montaż bezpiecznych ZAGŁÓWKÓW            | ■ MECHANIKA POJAZDOWA 126p                      |
| ■ DRZWI I ZAMKI – regulacja                | ■ AUTOKOMIS i sprzedaż                          |

**FIRMA TOBIK, Łódź, ul. Tuwima 15**

☎ 32-46-62

**BIURO TURYSTYCZNE**

91-032 Łódź, ul. Limanowskiego 166, tel. 51-50-30

**5-DNIOWE WYCIECZKI**

PECS – SZEKSZARD, TATABANYA – GYŐR

**WCZASY**

WĘGRY CZECHOSŁOWACJA  
 WYNAJEM AUTOKARÓW  
 (DLA SZKÓŁ ZNIŻKA)

**SYLWESTER W BUDAPESZCIE**



Nasz zakład  
 proponuje Państwu

kompleksowe zabezpieczenie pojazdu systemami alarmowymi  
 produkcji krajowej oraz zachodniej.

Wszelkie informacje uzyskają Państwo  
 w zakładzie TUWIMA 15 lub telefonicznie: 33 04 61  
 Zakład czynny od 9 do 17



**GALERIA 31**

90-410 Łódź, ul. Piotrkowska 31, tel. 32-44-74

**OFERUJEMY WSPÓŁCZESNE DZIEŁA SZTUKI I WYROBY ARTYSTYCZNE  
 ORAZ DZIEŁA SZTUKI POWSTAŁE PRZED 1945 r.**

**Wykonujemy ekspertyzy i wyceny dzieł sztuki**

**SOBIERADEK**

94-042 Łódź, ul. Florecistów 1 (Retkinia), tel.: 86-42-54

- |  |  |
|--|--|
| ● glazura i terakota mrozooodporne (import Włochy, Szwajcaria) | ● narzędzia i elektronarzędzia                     |
| ● boazerie i listwy  | ● maszyny do obróbki drewna                        |
| ● okucia meblowe i budowlane                                   | ● sprzęt instalacyjno-sanitarny                    |
| ● płyty laminowane, wiórowe i pilśniowe                        | ● usługi cięcia płyt                               |
| ● meble kuchenne i ogrodowe                                    | ● urządzenia do odświeżania powietrza – jonizatory |
| ● farby, lakiery i tapety                                      |  |

**Godziny otwarcia: od poniedziałku do piątku 10.00-18.00**

**BIURO USŁUG  
 TURYSTYCZNYCH**

**JANOSIK**

90-361 Łódź, ul. Piotrkowska 270, XIV piętro, pok. 1404  
 tel. 84-70-24, 81-02-11 w. 474, 196, fax 81-59-27

**PROPONUJE**

- WŁOCHY: 11 dni, objazdowa, autokarowa, cena: 1,5 mln zł + 145 USD (wyżywienie własne)
- JAPONIA: 13 dni, w tym 8 dni w Niiagacie, cena: 6,5 mln zł + 250 USD (wyżywienie własne)
- CHINY: 12 dni, w tym 6 dni w Pekinie, cena: 6,5 mln zł + 240 USD (świadczenia)
- INDIE: 13 dni, w tym 8 dni w Delhi, cena: 6,5 mln zł + 170 USD
- USA – KANADA – MEKSYK – WYSPY BAHAMA: 10, 14, 18 dni, ceny: 1700 – 2200 USD
- TURCJA: 3 dni w Istambule, cena: 1,2 mln zł
- PARYŻ: 3 dni, w tym licytacja samochodów z możliwością zakupu, cena: 2,5 mln
- PARYŻ: przejazdy autokarowe: 690 tys., 990 tys.
- OSLO: przejazdy autokarowe: 1,7 mln
- ZAKOPANE: terminy dowolne, pełne wyżywienie, cena: 70 tys. zł za dobę od osoby

**ZAPRASZAMY**

**Sex-Shop**

Łódź, ul. Piotrkowska 48  
 tel. 32-52-14

Czasopisma, akcesoria,  
 afrodyzjaki, zdjęcia,  
 katalogi

Także dział gejowski  
**Znajdziesz TU to,  
 czego szukasz  
 i jeszcze więcej!**

**Erotic Land**

**Erotic Land**

*Erotic Land*

*Erotic Land*

**Erotic Land**

**Erotic Land**

**USŁUGI**

● NOWOOTWARTA ekskluzywna kawiarnia „Klubowa” ŁDK Traugutta 18, I piętro, czynna - 10 do 21  
 ● PO remoncie kawiarnia „Rajdowa” poleca bankiety, wesela, dyskoteki, ul. Gagarina 11  
 ● BAR bistro „Brzdąc” zaprasza na znakomite kurczaki z rożna, duży wybór piwa! Kilińskiego 32  
 ● DYSKOTEKI - Łódzki Dom Kultury, ul. Traugutta 18, soboty 18-23.00, niedziele 18.00-23.00  
 ● NOWA PIZZERIA - bankiety, przyjęcia, - Gagarina 11  
 ● SOLARIUM „MARIBO”, masaż klasyczny, manicure-pedicure, al. Kościuszki 80/82, telefon 36-50-55 w. 300  
 ● „ZBIL” - wszelkie formy reklamowe, Obr. Stalingradu 26 m 10  
 ● USŁUGI poligraficzne - Kaniowski-Gesicki, Przybyszewskiego 40, tel. 81-39-12  
 ● PRACOWNIA wydawniczo-reklamowa „GRAF” ul. Zachodnia 101, projekty i wykonanie, poligrafia, wnętrza, reklama  
 ● NA zamówienie wykonujemy obrazy olejne, witrażowe i ze skóry, tel. 42-08-34  
 ● „PROVIDIUM” - usługi księgowo i powiernicze, ul. Sienkiewicza 3/5  
 ● PRACOWNIA plastyczna - Jan Grzyb-Piotrowski, Zachodnia 101, tel. 32-32-77  
 ● PRACOWNIA Plastyczna „ZYGMA”, Sterlinga 22, projekty i wykonanie, napisy, elewacje, witraż, szyldy, samochody  
 ● BIURO Finansowo-Księgowe „DOMINO” - usługi w zakresie podatkowej, księgi przychodów-rozchodów, Piotrkowska 270 pok. 1310, tel. 81-02-11 w. 629  
 ● ZAJĘCIA modelujące sylwetkę (callanetics, aerobic), telefon 33-58-29  
 ● AUTONAPRAWA u klienta, Walczak 74-73-74  
 ● DRAPANIE dzianin szybko, solidnie, Łódź, Pstrowskiego 27, 57-85-61. Zatrudnię drapacza

**TOWARZYSKIE**

● JESIENNY maraton taneczny samotnych, kawiarnia „KASKADA” czwartek, piątek, niedziela 17.00-21.00  
 ● WIECZORKI taneczne dla samotnych. Klub „Pod Witrażem”, al. Kościuszki 33, niedziele 17.00-21.00  
 ● WIECZORKI taneczne dla samotnych czwartki, piątki, niedziele, kawiarnia „Kaskada” od 17.00 do 21.00  
 ● WIECZORKI taneczne dla samotnych DDK - Siedlecka 1 soboty 17.00-21.00  
 ● WIECZORKI taneczne dla samotnych DDK - Ł. Krzemieniecka 2, każda niedziela 17.00-21.00  
 ● MIĘDZYNARODOWE wieczorki taneczne dla samotnych Klub „Ambasador” ul. Bazarowa 6, piątki 18.00-23.00  
 ● AGENCJA Matrymonialna „Adam i Ewa” - 86-76-06, ul. Traugutta 18 ŁDK, poniedziałki i piątki 18.00-20.00  
 ● ROZWIEDZIONA lat 35, blondynka, 1 dziecko, mieszkanie, pozna pana do 40, 33-78-03  
 ● WOLNA, lat 40, 1 dziecko, duże mieszkanie, pozna pana do lat 45, tel. 33-78-03

**SPRZEDAŻ**

● DZIAŁKĘ pracowniczą (osiedle Mireckiego) 300 m<sup>2</sup>, owocowo-kwiatowo-warzywną sprzedam, 51-68-45 cena 15 mln  
 ● SPRZEDAM komputer typu Neptun 156, cena 500 tys. telefon 36-64-77  
 ● CHARTY afgańskie, rodowodowe po złotych medalistach. Cena 2 mln, tel. 42-55-51 wieczorem  
 ● UMEBLOWANE, komfortowe mieszkanie, bloki 47 m<sup>2</sup> z telefonem, Bałuty 300 mln, telefon 84-38-13  
 ● 20 ton wełny owczej B4 - 1 tona 30 tys. na bazie pranej, Opczo 41-40 wieczorem  
 ● MEBLE przedwojenne sprzedam - kredens 5 mln, krzesła - 800 tys. ul. Zyndrama 56  
 ● SPRZEDAM działki w Galkówku Małym, cena 1 m<sup>2</sup> - 400.000 zł, tel. 34-41-74 wieczorem  
 ● SPRZEDAM aparat do pomiaru cukru we krwi (glucometr III), cena 800.000 zł, tel. 51-76-60  
 ● KARTY pocztowe, świąteczne - 18 wzorów, sprzedam, telefon 57-73-10  
 ● SPRZEDAM offset B-4, Za-

kład Usług Poligraficznych, Łódź 74-50-36  
 ● DZIAŁKĘ leśną 2 ha k/Łodzi całość lub część sprzedam, tel. 86-19-87  
 ● SZAFĘ dwudrzwiową z nadstawką - sprzedam, cena 1.000.000 zł, tel. 52-32-45  
 ● SPRZEDAM działkę pracowniczą w Justynowie, telefon 55-66-81  
 ● SPRZEDAM duży kredens pokojowy międzywojenny. Cena 1 mln. Telefon 51-58-03

**LOKALE**

● ZAMIENIĘ nowe mieszkanie 40 m<sup>2</sup> - Bałuty na większe, tel. 51-68-45  
 ● DUŻE MIESZKANIE (111 m<sup>2</sup>) w centrum Łodzi zamienię na dwa oddzielne, tel. po godz. 17 - 33-42-66  
 ● ŁÓDŹ-Górna kawalerka (telefon) zamienię na Łódź-Zubardz, bloki, 51-48-33  
 ● M-3 spółdzielcze - I piętro Chojny na większe, 33-98-22 wieczorem  
 ● ATRAKCYJNE M-4 (64 m<sup>2</sup>) Sieradz zamienię na Łódź, tel. 87-01-90  
 ● ZAMIENIĘ M-3 własnościowe Ł-Bałuty na Konstanyńów, 55-22-14 wieczorem

**Do wynajęcia 10 pomieszczeń biurowych**

ok. (220 m<sup>2</sup>) na ul. Piotrkowskiej 96. Cena za 1 m<sup>2</sup> pow. użytkowej 40 tys. zł. Oferty prosimy składać listownie pod adresem: Tygodnik „Angora”, Łódź, ul. Piotrkowska 94 z dopiskiem: „POMIESZCZENIA”, lub telefonicznie 32-61-79

**RÓŻNE**

● BANKIET towarzysko-matrymonialny + biznes, kontakt Wschód-Zachód. Hotel Centrum. Informacje: 5000 znaczkami „MARGHARET” Łódź 8  
 ● „DUET” - pośrednictwo celne Obywatelska 137, telefon 86-28-60 w. 398 - usługi, pośrednictwo, dokumentacje, kompleksowe odprawy

**Dziennikarska Spółdzielnia Pracy „ODGŁOSY”**

malowaną dla dzieci „Zwierzęta Afryki”, przewodnik po ukraińskich górach - Gorganach i Czarnohorze

● FARBY, lakiery, impregnaty firm SADOLIN i MIPA, ul. Wschodnia 62  
 ● SOLARIUM - uroda i zdrowie dla każdego, Wschodnia 41/43 (parking)  
 ● „WILMA” - najgrabsze muszkieterki - koty, oficerki, płaszcze z flauszu, Wschodnia 62  
 ● KAWIARNIA „SATURN” ul. Roosevelta 17 zaprasza sympatyków muzyki i dobrej rozrywki 12.00-22.00  
 ● SKLEP NON STOP „ITAKA” czynny całą dobę poleca alkohole, art. gammażeryjne, papierosy, słodycze, napoje, Konstanyńów ul. 19-stycznia 24  
 ● JEŻELI chcesz kupić dobrą książkę - wstęp Zielona 75 Dom Księgarsko-Wydawniczy telefon 33-92-27  
 ● POSZUKUJĘ wszelkich informacji o kościołach nierzymskokatolickich, Jacek Rzońca, Łódź 52, skr. 80  
 ● BOGACI pomóżcie biednym, pilnie potrzeba pomocy, zadłużeni nr konta NBP o/o Poznań, 63-047-500106-138-1644

**NAUKA**

● UCZĘ dzieci obsługi i programowania ATARI - telefon 42-86-04  
 ● LEKCJE rysunku - wyższe studia plastyczne i architektura 1 godz. 70.000 tel. 31-92-83 wieczorem  
 ● SPÓŁKA Artystów Plastyków - intensywna nauka rysunku i malarstwa - 700.000 kwartał - 31-92-83, 34-41-74  
 ● PRZYGOTOWUJĘ do egzaminów z fizyki 50.000 zł za godzinę, tel. 42-86-04 wieczorem  
 ● JEZYK angielski, niemiecki - 390.000 zł kwartalnie, telefon 56-91-93  
 ● AGENCJA „KONTUR” - kursy przygotowawcze malarstwa i rysunku, ul. Rewolucji 67, tel. 56-91-93  
 ● POSZUKUJĘ lektorów jęz. angielskiego (studenti) - 43-62-16  
 ● KURSY języków obcych - tel. 34-41-79  
 ● PRYWATNA Szkoła Języków „BE-LO-MA-RO” - kursy jęz. niem. przygotowujące na studia, do egzaminów państwowych, XXI LO ul. Kopernika 2, tel. 36-62-55  
 ● AGENCJA dydaktyczna - kursy języków obcych 43-62-16  
 ● AKADEMIA Medycyny Naturalnej - każdy piątek godz. 18.00, ul. Traugutta 18, sala 409  
 ● TAIJIQUAN - gimnastyka relaksacyjna, wtorek, czwartek tel. 33-72-53  
 ● PRACOWNIA fotograficzna dla początkujących i zaawansowanych, tel. 33-98-00 w. 324  
 ● PRACOWNIA rysunku i malarstwa. Przygotowanie na studia wyższe, 33-98-00 w. 218, godz. 8-16.00  
 ● TRENING dla liderów, tel. 33-72-53, 18, 19, 20.X.91  
 ● ANGIELSKI dla początkujących i zaawansowanych, telefon 33-98-00 w. 320  
 ● LEKCJE gry na fortepianie, 74-84-99

**PRACA**

● KLUB „Plastyka” - zatrudni kucharza oraz rencistkę do pomocy w kuchni, Piotrkowska 86, tel. 32-71-35  
 ● MEZCZYZNA poszukuje pracy (samochód) 43-22-98  
 ● PRZYJĘĆ pracę na pół etatu, mechanik tel. 84-13-50  
 ● MŁODY, prawo jazdy, samochód, paszport, znajomość jęz. obcych - oczekuje propozycji pracy, tel. 81-37-22  
 ● ATRAKCYJNA kobieta poszukuje pracy - (szycie wykluczone), tel. 33-78-03 wieczorem

**BIZNES**

● „PANTA-RHEI” - ul. Jaracza 22/24, farby, spżet malarski - firmy niemieckiej  
 ● ETYKIETY tkane - Więckowski 77, tel. 33-39-72  
 ● EMEL - wyrób galanterii metalowej - hurt, detal, 78-94-76  
 ● HURTOWNIA „TADEJ” - dodatki krawieckie, tkaniny, tel. 81-98-03  
 ● PRZEDSIĘBIORSTWO Handlowe „FAGRA” - elektronika, hurt, detal - Szafranski, tel. 88-25-65  
 ● MODA ITALIANA - konfekcja damska i męska, Piotrkowska 79 I p.  
 ● BIELIZNA damska - Jaracza 80 m 5, tel. 78-72-70  
 ● AUTOHIT - oryginalne części, nowe: Opel, Mercedes, VW, Audi. Targowisko Górniak  
 ● HURTOWNIA „PPH-Pro-hurt” poleca części do samochodów: Polonez, Maluch, Żuk, od godz. 8.00 do 16.00, Dubois 119  
 ● HURTOWNIA dodatków krawieckich, tkanin P.W. „JUREX” - Brzeziny ul. Sienkiewicza 22, 0-40 kier. 74-36-73  
 ● ZAKŁAD przyjmie montaż elektroniczny, inné, współpraca, tel. 87-70-25  
 ● BIŻUTERIA srebrna, wyrób i sprzedaż - art. plastik, telefon 33-33-89  
 ● HURTOWNIA - dresy, odzież, Mira Świączak, telefon 33-26-21  
 ● „GLOB-SYSTEM” - przedsiębiorstwo handlowo-usługowe, ul. Inflancka 37/39 tel. 57-61-77  
 ● „ELKOS” - telefony, kalkulatory, notesy menagerskie, radiodiodowarzacze, anteny, głośniki samochodowe, ul. Wschodnia 62  
 ● „KRISPOL” - hurtownia w Konstanyńowie, ul. 19-go Stycznia 2 poleca wino i piwa

● SKLEPY „Ferrum” polecają szeroki wybór w branży metalowej i inst-sanit., ul. Sieradzka 1, Piotrkowska 317  
 ● NAJTANSZE papierosy krajowe i importowane, firma „CIGARO” - hurt, detal. Wschodnia 53 tel. 33-16-13  
 ● HURTOWNIA papierosów „AXE” - Wólczajska 249/251 godz. 8-18.00  
 ● „DAR-MARK” - Jaracza 9 - art. piśmienne, zabawki, kasety wideo, obuwie, kosmetyki dla dzieci  
 ● ATRAKCYJNE suknie ślubne, wizytowe garsonki, odzież damska, oferuje „MAJKA” - Jaracza 9  
 ● SUKNIE ślubne i rękawiczki w dużym wyborze - ceny atrakcyjne - Firma MARINOV Dom Rzemiosła - sklep nr 7, pl. Niepodległości  
 ● „JANOSIK” - Biuro Turystyczne, Piotrkowska 270 V p. tel. 84-70-24, oferuje bardzo atrakcyjne wycieczki zagraniczne  
 ● P.H. „MAGBAR” - hurtownia obuwia i odzieży, ul. Krzemieniecka 2 (obok hurtowni Femina), ceny konkurencyjne  
 ● „GEA” - Jaracza 9 - „SONY” - telewizory, magnetowidy, odwarzacze znanych firm

**KUPNO**

● KUPIĘ gospodarstwo rolne w okolicach Łodzi, tel. 74-34-41

**ZYCZENIA**

● Kochanej żonie Dorocie Par-teka z okazji 3 rocznicy ślubu życzenia składa mąż  
 ● Kochanej Mamie Bożenie Włodarczyk, ul. Włókiennicza 15/25 z okazji urodzin serdeczne życzenia składa syn  
 ● Franciszkowi Bagnowskiemu, ul. Sieradzka 7 m 21 z okazji imienin dużo zdrowia córki  
 ● Krzysztofowi Frankowi, Sz.P. nr 200 ul. Czernika 3/5 z okazji Dnia Nauczyciela serdeczne życzenia kl. VII M  
 ● Stanisława i Franciszek Kołodziejscy ul. Cwiklińskiej 6 m 11 zawiadamiają o jubileuszu 60-letnia swojego małżeństwa dn. 5.X.91 r.  
 ● Jadwidze Różyckiej zam. De-otymy 5/22 z okazji imienin serdeczne życzenia składa Tadeusz z rodziną  
 ● Wychowawczyni kl. VIII Szk. P. 147 ul. Dubois 7/9 oraz gromu pedagogicznemu z okazji Dnia Nauczyciela - uczniowie  
 ● Kochanej córce Katarzynie Jedrusińskiej, ul. Piłsudskiego 67/21 z okazji 18 urodzin serdeczne życzenia składa mama  
 ● Z okazji rocznicy działalności P.P.H. - „Pro-hurt” ul. Dubois 119 właścicielom serdeczne życzenia składają: kierownik, Tadeusz, pracownicy  
 ● Ukochanej naszej Pani Teresie Bobrowskiej Szk. Podst. nr 9, ul. Wapienna 17 z okazji Dnia Nauczyciela serdeczne życzenia składa kochająca kl. IIIb  
 ● Serdecznie pozdrawienia Maćkowi i Bartkowi Walczakom z Zakopanego oraz Ich rodzicom przesyłają Olga i Aleksandra

**PO**

wina  
piwa  
napoje  
kawę  
ocet  
oraz słodycze  
Zaprasza

**Przedsiębiorstwo „JAFI”**

Łódź, ul. Cyprysowa 23

**Tel. 34-27-72**

**Reklama w „Odgłosach” to reklama przez cały tydzień!**

Oferujemy usługi w zakresie reklam. Promocyjne ceny:

- na kolumnie ogłoszeniowej - 6 tys. zł za 1 cm<sup>2</sup> (minimalna powierzchnia ramki 25 cm<sup>2</sup>)
  - reklamy na pierwszej stronie - 100% dodatku (powierzchnia nie może być większa niż 150 cm<sup>2</sup>)
  - reklama na ostatniej stronie - 50% dodatku (powierzchnia nie większa niż 200 cm<sup>2</sup>)
  - reklama na pozostałych stronach 30% dodatku
- Wykonujemy opracowania graficzne reklam: przy całostronicowej - 10% dodatku, przy pozostałych - 25% dodatku. Przy pięciu kolejnych ogłoszeniach - piąte zamieszczamy bezpłatnie!
- Proponujemy także nowy atrakcyjny rodzaj reklamy w formie artykułów pisanych przez naszych dziennikarzy. Rodzaj publikacji i opracowanie graficzne do uzgodnienia.

**Ceny: całostronicowa publikacja - 10 mln zł, półstronicowa 6 mln zł, ćwierćstronicowa 4 mln zł**

**Ogłoszenia przyjmowane są w:**

- „Odgłosach” ul. Sienkiewicza 3/5 XI piętro, pok. 1104, tel. 36-52-44
- „Gazecie Reklamowej” ul. Sienkiewicza 11/13, tel. 33-18-19
- AnGORZE” ul. Piotrkowska 94, I piętro, pok. 11, tel. 32-61-79
- Biurze Ogl. i Rekl. „Epoka” al. Kościuszki 41, tel. 33-23-28
- Biurze Reklam i Ogłoszeń ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 33-11-50
- B.U.T. „Voycamp-Tour” ul. Piotrkowska 91, tel. 33-36-21

**Zasady przyjmowania ogłoszeń drobnych bezpłatnych**

1. Ogłoszenie nie powinno przekraczać 10 słów
2. Każde ogłoszenie dotyczące sprzedaży powinno zawierać cenę
3. Ogłoszenia z życzeniami, podziękowaniami, przeprosinami itp. powinny zawierać imię, nazwisko oraz adres bądź miejsce pracy osoby, której składa się życzenia.
4. Ogłoszenia z zawiadomieniami o urodzinach niemowląt powinny zawierać imiona i nazwiska rodziców, nazwę szpitala, godzinę i datę urodzenia, długość i wagę noworodka, płeć niemowlęcia.
5. Ogłoszenia należy nadesłać pod adresem redakcji na zamieszczonym obok kuponie bądź też osobiście złożyć w redakcji, Sienkiewicza 3/5 XI piętro.
6. Redakcja zastrzega sobie prawo nie publikowania ogłoszenia bez podania przyczyny.

**CZYTELNIKU! Wypełnij wycięty z naszego pisma kupon i prześlij go pod adresem redakcji. Twoje ogłoszenie zostanie zamieszczone bezpłatnie w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów”.**

**KUPON OGŁOSZENIOWY „Odgłosy” 90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5**

Treść:

---

(imię i nazwisko) (adres) (telefon)

---

(data) (podpis)

● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY

● W Studiu Wyborczym Łódzkiej Rozgłośnia PR często zamiast tekstów prezentujących program wyborczy poszczególnych ugrupowań słuchamy muzyki. Prowadzący audycję wyjaśnia, że taki to a taki komitet wyborczy nie nadstawił materiałów. Zdarzyło się to komitetom wyborczym z Piotrkowa Trybunalskiego, z Konina. Ostatnio zdarzyło się to Komitetowi Wyborczemu Partii Ruchu Wolnych Demokratów z Łodzi, której kandydatem na senatora jest mecenas Karol Głogowski. Postanowiliśmy rzecz sprawdzić u źródła. Okazało się, że Łódzka Rozgłośnia PR powiadomiła Wojewódzki Komitet Wyborczy o terminie audycji, ale informacja nie dotarła do zainteresowanych. Szkoda.

● Starożytny filozof grecki Heraklit odkrył, że „panta rhei”, czyli wszystko płynie, zmienia się. Tocząca się kampania wyborcza jeszcze raz potwierdza odkrycie starożytnego filozofa. Zmienia się nie tylko rzeczywistość, chociaż z oporami, ale zmieniają się ludzie. W Gdańsku na przykład ponownie kandyduje na posła obecny wicemarszałek Sejmu RP – Tadeusz Fiszbach. W swoim programie wprowadzić nie zaprzecza, że był I sekretarzem KW PZPR w Gdańsku, ale stwierdza natomiast, że zalicza się do tej „grupy ludzi, którzy nigdy nie utożsamiali się z komunizmem”. Po co szukać tak daleko, w Łodzi też kandydują różni „ciekawi” ludzie. Oto na przykład pewien kandydat najpierw opowiedział, jak to był prześladowany przez komunię, a następnie z zalem oświadczył, że nigdy nie otrzymał żadnego odznaczenia. Nazwiska nie ujawniamy przez litość.



● W Łodzi demonstrowali emeryci związani z „Solidarnością”. Domagali się między innymi utworzenia funduszu emerytalnego pod nadzorem emerytów i wyłączenia go z ZUS, zwrotu zagrabionego majątku z konta ZUS oraz przekazania części wpływów z prywatyzacji na fundusz emerytalny. Do demonstracji emerytów włączyli się agitatozy Unii Polityki Realnej, która programowo jest przeciwna przymusowym ubezpieczeniom. Emeryci pomylili ich z agitatorami Partii X Stanisława Tymiańskiego. Natomiast emeryci z Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów odcieśli się od demonstracji emerytów z „Solidarności” i oświadczyli, że popierają rządowy projekt ustawy emerytalnej. Polskie piekło w karykaturze.

● Zofia S. zwróciła się do „Radiorka” z pytaniem, jak to możliwe, aby ZUS przyznał jej zasiłek dla dzieci po 9 tysięcy złotych na jedno dziecko? Nas ta sprawa też zainteresowała. Sprawdziliśmy w ZUS. Wszystko się zgadza. Zofia S. jest rozwiedziona. Mąż nie płaci alimentów, gdyż jest bezrobotny. Fundusz alimentacyjny znajduje się przy ZUS. Zofia S. otrzymała zatem alimenty w takiej wysokości, w jakiej przed laty zasiadził jej sąd. Wyrok nadal obowiązuje. I nie ma żadnej możliwości, aby taki absurdalny stan zmienić. Zofia S. może jedynie wystąpić do sądu o podwyższenie alimentów. Nasza rzeczywistość prawna jest niebawem skomplikowana i rodzi się obawa, czy działalność legislacyjna Sejmu i Senatu RP jeszcze bardziej jej nie skomplikuje. A swoją drogą: może by tak senatorowie zatroszczyli się też o życie i zdrowie dzieci opuszczonych, których alimenty nie podlegają rewaloryzacji?

● Do naszej redakcji zadzwonił pełen oburzenia redaktor Marian Papis („Głos Poranny”), który oświadczył, że nasza informacja o tym, jakoby redaktor Małgorzata Golicka była głównym krytykiem „Odgłosów” na konferencji prasowej w Kurii Biskupiej nie odpowiada prawdzie. Prawdą jest natomiast, że redaktor Małgorzata Golicka zwróciła uwagę, że skoro nikogo nie ma z „Odgłosów”, to nie należy o piśmie mówić. Widać nasze „koła dobrze poinformowane” były złe poinformowane. Przepraszamy zatem serdecznie redaktor Małgorzatę Golicką.

● Janusz Korwin-Mikke jest nie tylko liderem Unii Polityki Realnej, ale też przewrotnym publicystą. W tygodniku „Wprost” podzielił się swoimi rozważaniami, z których wynika, że obecnie następuje... „pogłębianie socjalizmu”. Socjalizm według niego to taki ustrój, w którym „pod przymusem bierze się pieniądze ludzimi zamożniejszym i przekazuje biedniejszym”. Politykę taką prowadził już niejaki Janosik na Podkarpaciu, ale prywatna armia biskupa krakowskiego ujęła go i powiesiła. Dziś w rękach Janosika znajduje się wojsko, biskup krakowski i wszystko inne. Emerytów może zainteresuje fakt, że Janusz Korwin-Mikke obliczył, iż po 35 latach pracy emerytura powinna dziś wynosić 2.240.000 złotych. Ciekawe, co dziś Janosik zrobiłby z Januszem Korwin-Mikke?

● Sensacja goni sensację. Ukazała się książka „General Kiszczak mówi” oraz książka „Gliniarze z „Tygodnika” – Krzysztof Kozłowski”. Obie książki wydała ta sama oficyna: Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”. Ponoć obaj „gliniarze” mają wiele sensacji do zaoferowania czytelnikom. Poczekamy, kupimy, przeczytamy, ocenimy.

● W ostatnim numerze tygodnika „NIE” znaleźliśmy takie oto ostrzeżenie: „Kapsia UOP-u, zadowolonego w drukarni, w której drukuje się „NIE”, ostrzegamy, że jak nam się będzie chciało, to wydrukujemy jego donosy na nas. Zeby sobie wszyscy poczuli”. Trudno dziś być tajnym agentem Urzędu Ochrony Państwa.

B.M.

## CZYTELNICZY PISZA

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

# List otwarty

Do Pana  
Waldemara Bohdanowicza  
Wojewody Łódzkiego

My najstarsi, bo związani po lat kilkanaście a nawet kilkadziesiąt z instytucją, pracownicy Miejskiej Biblioteki Publicznej im. J. Piłsudskiego, od niedawna noszącej w nazwie bliskie Panu słowo „wojewódzka” wyrażamy swój najgłębszy niepokój o los tej jedynej pozostającej w gestii Pańskiej administracji Biblioteki, której udało się przetrwać 74 lata w naszym mieście. Czy doczeka się i w jakim kształcie swojego 75-lecia? Czy tylko jako magazyn książek niedostępnych dla nikogo, czekających na „lepsze czasy”?

Z przerażeniem i oburzeniem śledzimy doniesienia z całego kraju o niebawem beztropce władz graniczącej z arogancją w stosunku do bibliotek.

Z ogromnym trudem przez dziesięciolecia szukała swego miejsca na „ziemi obiecanej” książka. Dzięki uporowi bezimiennych dziś dla większości kilku pokoleń bibliotekarzy w głównej Książnicy miasta udało się zgromadzić bezcenne dla Łodzi, makroregionu i kultury narodowej zbiory, których nie przyćmiły biblioteki wyższych uczelni. Setki tysięcy uczniów, studentów, intelektualistów i ludzi prostych przewijają się przez czytelnie i wypożyczalnie sięgając po najcenniejszą wśród dóbr kultury – książkę.

Dziś byt tej Biblioteki jest zagrożony! Biblioteki! Nie tylko ludzi z nią związanych! Niemożność zakupu książek przez miesiąc to strata najczęściej nie do odrobienia. Uniemożliwienie korzystania z tego co już posiadamy to sabotaż. Tak niedawno udostępniliśmy czytelnikom po latach zakazów tzw. prohibity. Dziś przyjdzie nam zamknąć na klucz po stokroć więcej zbiorów. Przyczyny inne – to prawda, lecz skutek taki sam. Dalece niedoskonały proces edukacyjny młodych ludzi w naszym kraju bez dostępu do książek czynimy już zupełnie kalekim.

Jako bibliotekarze rozumiemy aż nadto dobrze, że nadszedł czas wyrzeczeń – dla nas to nic nowego. Dane o kondycji finansowej polskiego bibliotekarstwa i dochodach naszej grupy zawodowej w ciągu dziesięcio-

leci mówią same za siebie. Rozumiemy też, że nadszedł czas wyboru i czas decyzji.

Nawoływanie do przetrwania, rozlegające się na wszystkich szczeblach władzy świadczy tylko o braku jakiegokolwiek konstruktywnej koncepcji i ucieczce od tych decyzji. A przecież ta sytuacja nie powinna być zaskoczeniem. Jej symptomy widoczne były już co najmniej od roku. Apele o oszczędność ze wszech miar słuszne najskrzętniej nawet realizowane nie przyniosą w bibliotekach znaczących efektów. Nakazy wypracowania własnych dochodów przez biblioteki przy ustawowo zagwarantowanym w naszym kraju, bezpłatnym dostępie do książki są ewenementem w skali światowej. Zaś zalecenia Pańskiej administracji o przymusowych urlopach bezpłatnych dla wszystkich pracowników przy braku powszechnie znanego, szczegółowego raportu o stanie finansów jakimi Urząd Wojewódzki dysponuje budżą tylko nieufność i sprzeciw.

Panie Wojewodo! Mimo najlepszych chęci nie zrobimy z Biblioteki kolejnego w Łodzi teatru, gdzie na najmniejszy nawet spektakl trzeba kupić bilet. Zdajemy sobie też sprawę, że nasza całoroczna praca nie da nigdy tak spektakularnych efektów co jedna premiera w Teatrze Wielkim choć tyle samo kosztuje. Dochody jakie możemy wypracować nie starczą nawet na czynsz w jednym miesiącu.

Można oczywiście w imię oszczędności pozbyć się i połowy pracowników. Można i wszystkich! Ale pamiętajmy, pozostanie książka – tego procesu świadek i oskarżyciel. Pozostanie sama! Na niewiele zda się jej prywatna miłość pojedynczych wielbicieli.

Staliśmy przed wyborem. Każdy z nas będzie decydował o swoim losie. O losie Biblioteki będzie decydowała Pańska administracja i Pan jako „minister kultury i sztuki” na własnym terenie. Kultura niejedno ma imię i wbrew utartym poglądom można ją wartościować i dokonywać wyboru. Wierzymy głęboko, że w Łodzi tym razem ten wybór będzie właściwy.

Pracownicy

Miejskiej Biblioteki Publicznej im. J. Piłsudskiego

(38 podpisów)

## Straszna kompromitacja

Nazywam się Joep Rietveld, jestem obywatelem Holandii zamieszkałym wraz z moją rodziną w Hadze. Zdecydowałem się na napisanie tego listu, gdyż chciałbym wyrazić oburzenie sposobem w jaki zostałem potraktowany przez polskiego „biznesmena” pana Jana Cygankiewicza, właściciela firmy „Kowart” – Pracowni Kowalstwa Artystycznego i Metaloplastyki mieszczącej się w Łodzi przy ul. Wólczarńskiej 206.

W zeszłym roku poprzez moją żonę, która jest Polką, nawiązałem kontakt z w/w firmą w celu promowania artykułów kowalstwa artystycznego produkowanych przez zakład p. Cygankiewicza. Promocja miała obejmować kraje Beneluxu – głównie Holandię. Zorganizowałem miejsce na targach międzynarodowych Restoration'90 w Amsterdamie, gdzie p. Cygankiewicz jako jedna z dwóch polskich firm mógł zaprezentować swoje wyroby. W targach uczestniczyli wystawcy ze wszystkich krajów świata. Dzięki tej wystawie p. Cygankiewicz nawiązał kontakty z wieloma zagranicznymi firmami.

Pomimo umowy o zwrocie kosztów poniesionych przeze mnie (zgodnie z przedstawionymi rachunkami) na opłacenie uczestnictwa w targach i promocję artykułów kowalstwa artystycznego na terenie Holandii, pan Cygankiewicz nie uregulował w/w należności, zrzucając wszystkie koszty na mnie. Kilkakrotnie próbowałem nawiązać po-

nowny kontakt z „biznesmenem z Łodzi” niestety – bezskutecznie. Spotykałem się ciągle z oszustwem, kłamstwem i zwodniczymi metodami pana Jana Cygankiewicza, który jest mi winien kilkanaście tysięcy guldów.

Chciałbym również zwrócić uwagę na niesolidność i partacką robotę pracowni „Kowart”. Otóż, za moim pośrednictwem p. Cygankiewicz zawarł kontrakt na sprzedaż bramy w miejscowości Wassehaar – przedmieścia Hagi. Pomijając fakt, iż klient czekał na plan bramy dłużej niż to było ustalone i bramę przywieziono 2 tygodnie po uzgodnionym terminie, to po zainstalowaniu okazało się, że brama nie działa – słupki nie wytrzymują jej ciężaru i że się nie zamyka.

Była to straszna kompromitacja na rynku holenderskim. Jest mi szczególnie przykro, gdyż jako mąż Polki tak bardzo zawiodłem się na jej współrodaka. I z zalem stwierdzam, że zdanie panujące o krętaństwie i oszustwie niektórych Polaków za granicą potwierdza się, choć ja zawsze stawałem w ich obronie.

Mam nadzieję, że obywatele tacy jak pan Jan Cygankiewicz stanowią margines społeczeństwa polskiego a ja zrobię wszystko by przed nimi ostrzec moich współrodaków.

Joep Rietveld  
Haga

## Posła Niesiołowskiego słowa i czyny

Po ogłoszeniu przez p. posła Niesiołowskiego w „Dzienniku Łódzkim” enuncjacji pt. „Postkomunistów słowa i czyny” zwróciłem się do redakcji tej podobno niezależnej gazety z prośbą o wydrukowanie mego listu polemicznego. Otrzymałem telefoniczną odpowiedź, że „DŁ” drukować tego nie musi. Sądzę raczej, że nie może, ze względu na powiązania z p. Niesiołowskim, który albo już zasiada w Radzie Nadzorczej, albo ubiega się o tę posadę przy „Dzienniku Łódzkim”.

W związku z tym proszę „Odgłosy” o wydrukowanie mej polemiki zatrzymanej przez „DŁ” jako przyczynku do jeszcze jednej strony przedsiębiorczości p. posła.

Zbigniew Antoszewski

\* \* \*

Po raz kolejny poseł Niesiołowski daje dowód niskiej kultury politycznej w artykule „Postkomunistów słowa i czyny” (DŁ 218). Nie dziwi mnie nawet fakt, że zamiast walki na argumenty wprowadza on do kampanii wyborczej walkę na emocje, zaszłości i kłamstwa. Do tego już zdążył nas przyzwyczaić. Posuwa się jednak coraz dalej w swych insynuacjach, a ja dem nienawiści zaczyna opluwać ludzi o wiele bardziej od niego zasłużonych w doprowadzeniu do okrągłego stołu i wyborów w czerwcu 1989 roku. Poseł Bugaj w artykule Niesiołowskiego jest jedynie przedstawicielem „skrajnie lewicowej, małej, hałaśliwej grupy u d a j ą c e j (podkr. Z.A.) obrońców świata pracy”.

Szafowanie określeniami u d e c j a czy p o s t k o m u n a w stosunku do inacej od niego myślących posłów świadczy o daleko posuniętej przedwyborczej demagogii tego, pozał się Boże polityka ZChN.

Niesiołowski dobrze wie, kto i dlaczego rządził w Polsce przez 45 lat powojennych, zna też życiorysy poszczególnych posłów z obecnego Sejmu. Wie też sam najlepiej, że gdyby nie zdjęcie z Wałęsą, to najprawdopodobniej nie byłby posem obecnej kadencji. Najlepszym na to dowodem była przecież porażka w 1989 roku o wiele od niego poważniejszego działacza opozycyjnego mecenasa Siła-Nowickiego, z którym Wałęsa nie sfotografował się.

Ostatnio przeczytałem w wielu gazetach i dowiedziałem się z wypowiedzi wielu polityków, że pan poseł Niesiołowski zdążył się otrzeć o parę aferek (w tym finansowych) i „zaklepać” sobie po byłej PZPR wspaniały garaż przy ul. Piotrkowskiej 203/205 wbrew woli mieszkających tam jego wyborców – też posiadaczy samochodów. Coś tu nie w porządku z moralnością chrześcijańską przedstawiciela ZChN.

Pisze on, że „komuniści gotowi są obalić rząd aktualny” i, że „na podstawie układu sił w Sejmie mogłoby to zrobić”. A więc wie pan poseł, że jeśli „oni” tego chcieli, to rząd Bieleckiego już by nie było. To dlaczego tak się nie stało? A może dawna przynależność do PZPR nie ma już większego wpływu na dzisiejsze postępowanie Geremka, Cimoszewicza, Gila czy też Ziółkowskiej? Wymieniam jedynie nazwiska przewodniczących klubów poselskich. A jeszcze większa jest polaryzacja stanowisk wśród „szeregowych” posłów. Niech więc pan nie tworzy nowych życiorysów na podstawie wyników głosowań w Sejmie.

Świadomie pan Niesiołowski przeinacza fakty, próbuje zasugerować czytelnikowi, że nieodbycie wyborów w maju „zawdzięczamy” postkomunie. Jest to oczywiście kłamstwo. Przypomnę więc, że posłowie z koła SdRP głosowali za majowym terminem, natomiast przeciw – przynajmniej połowa posłów ze zdjęcia z Wałęsą.

Kłamie również pan poseł mówiąc, że „cała SdRP jest przeciw dawnej PZPR”. To kłamstwo jest chyba najłatwiej udowodnić. Służę nazwiskami. A dzięki wypowiedziom prasowym pana Niesiołowskiego ja i wielu chyba czytelników podjęło decyzję na kogo nie będą głosować w najbliższych wyborach.

Zbigniew Antoszewski

## Jedno danie Anny-Marii

Przychodzi do mnie sąsiadka. Ścisła triumfująco w objęciach nowy czajnik. Bardzo ładny, czerwony. W złotym i zielonym kwiatki malowany.

– Wprost za darmo kupiłam, Anno-Mario! – obwieszcza.

Więc się zdumiewam. Jak to: wprost za darmo? Dziś nie te czasy, w których cokolwiek za darmo. Ceny coraz bardziej zawrotne. Elektrowstrząsowe, tak je nazywa pewna moja znajoma. Mówi, że jak się rano przeleci do sklepu po bułeczkę grahamkę i dziesięć deko chudego serka, które jej muszą starczyć również i na kolację, a nie daj Boże zerknie na nową cenę masła, które właśnie w ciągu ostatniej nocy podrożało, to nią od razu podrzuca. Kiedyś, mówi znajoma, prała w pralce pod nazwą Frania, nastąpiło przebicie, prąd złapał i tak targał, podrzucał, no i teraz całkiem tak samo. A ponieważ ma chore serce, woli na ceny masła nie zerknąć. Zresztą i tak bez sensu dla niej zerknąć. Masła już od dawna nie kupuje, bo jej nie stać.

A ja niedawno gdzieś tam przeczytałam, że jesteśmy już najdroższym krajem świata. No i fajnie. Z tego widać, iż nie jest aż tak źle. Być najdroższym krajem świata to też osiągnięcie. Jakies osiągnięcia należy mieć koniecznie. Inaczej byłoby szaro, zwyczajnie, nudno i naród zacząłby upadać na duchu. Naród zaś potrzebuje optymistycznych bodźców motywacyjnych do życia na zasiłkach dla bezrobotnych. No i je ma. Kładzie się spać wieczorem, a gdy rano wstaje, ceny zdążyły wykonać następny skok o tyle, że godny mistrza Kozakiewicza. Więc słusznie premier Bielecki wola do narodu ze swoich plakatów wyborczych: **Nie bój się jutra!**

Mnie też by się przydał nowy czajnik, zwłaszcza, taki „wprost za darmo”. Bo swój okopciłam dokładnie. Ostatnio mam wyraźne kłopoty z głową. Robię różne dziwne rzeczy. Zamiast kartofli na przykład zdarza mi się odczcić zupe. Jeśli jest to kapuśniak, pół biedy na obiad zos-

taje jeszcze kapusta z kapuśniaku plus kartofle. Jeśli jednak akurat mam pomidorową z kartoflami, to zostają mi na obiad gołe kartofle, a mój syn nie chce jeść na obiad wyłącznie kartofli; i w ten sposób powiększam koszty utrzymania swojej rodziny. W czajniku też kilkakrotnie gotowałam wodę na herbatkę bez wody. To pytam sąsiadkę, gdzie nabyła takie półdarmowe czajnikowe cudo w kwiatki.

– Jak to gdzie, Anno-Mario? Przecieżżż od ruskich! Na Bałuckim Rynku.

I sąsiadka spogląda na mnie wzrokiem wyrażającym głębokie politowanie.

## Opowieść o czajniku

– To pani nie wie, że na Bałuckim Rynku ruskich od groma? I że wszystko od nich można wyciągnąć za pół darmo?

Ze „ruskich” od groma na Bałuckim Rynku, to ja wiem doskonale. W końcu praktycznie wszystkie zakupy dokonuję tamże, a nie w sklepie. Spotykam się w całkiem dobrym towarzystwie. Niedawno stałam w kolejce do beczki ze śledziami wespół z panią doktor leżącą gardło mego syna. Przywitaliśmy się z zachowaniem wszelkich form towarzyskich. Po czym wymieniliśmy poglądy na temat wyższości bazarowych form handlowych nad tymi tradycyjnymi, tzw. sieciowymi. Kolejka była długa, bo śledzie bez łbów, tłuste, z mleczeniami, a co ważniejsze: po konkurencyjnej cenie (o pięćset złotych taniej na kilogram!) w stosunku do sąsiedniej, śledziowej beczki. Dokonałyśmy więc bardzo udanego zakupu. Ja i pani doktor, laryngolog. Pożegnaliśmy się też jak przystało na dwie rodowodowe przedstawicielki polskiej inteligencji, z wielką kurtuazją. Noblesse oblige, nawet przy beczce ze śledziami.

– To pani, Anno-Mario, jeszcze niczego nie

kupowała od ruskich? Ani koldry? ani koca? ani żelazka z nawilżaczem? ani choćby noża czy latarki? Boże miłosierny, Anno-Mario! Z pani to jest, za przeproszeniem, taki życiowy dziwoląg. Jak można przepuszczać takie okazje! Ja tam za każdym razem, gdy polecę na rynek, to coś od tych dziadków utarguję.

I sąsiadka spogląda na mnie z nieukrywaną pogardą. Obruszam się, powiadam, że i owszem. Raz kupiłam. Trzy komplety wiecznych piór z długopisami.

Wcale mi te pióra ani długopisy, nie były potrzebne. Osobistego parkera zachowałam z daw-

nych, dobrych czasów. Długopisy dostają gratis dla syna od swego szwagra, który prowadzi taką firmę produkującą właśnie długopisy. Ale moja sąsiadka ma rację: jestem dziwoląg. Może nawet „życiowy”. Zazywny jegomość na Bałuckim Rynku ochrzcił mnie mianem wariatki, wypuszczonej z Kochanówki.

Bo mnie serce ścisnęło, gdy patrzyłam na skulonego, rosyjskiego chłopaka, i na te jego, rozłożone wprost na ziemi, na jakiejś szmatce skarby, które oferował nam, dumny Polakom, do sprzedania. Były tam dziwne srućki w metalowym kubeczku, dółka, obaczki bynajmniej nie błyszczące nowością; skarpety robione pewno przez babcię na drutach albo na szydełku, kilka haftowanych ręcznie serwetek, no i te aż trzy pudełeczka z długopisami i wiecznymi piórami, jedyny na pewno „nowy” towar.

Wokół jego rodaków, oferujących towar niewątpliwie bardziej atrakcyjny, kotłował się tłum, a on nie miał chętnych na swoje nędzne dobra. Zapytałam o ów komplet. Po rosyjsku odpowiedział, że chce piętnaście tysięcy. Wtedy ten zazywny jegomość zza moich pleców zawołał: Co

na najlepszej drodze do uwolnienia się od brzucha. Na pewno wszystko w porządku, panie doktorze, zapytała słabym głosem, bo czuje się tak, jakby miała za chwilę umrzeć. Nie chciałam pironić... Ale lekarz uśmiechnął się pobłażliwie: Jesteś okiem zdrowia i nic ci nie grozi. Niedługo poczujesz pierwsze ruchy swego upragnionego maleństwa. Fala mdłości podeszła gwałtownie pod gardło. Nie potrafiła wyobrazić sobie, aby cokolwiek mogło się ruszać w jej brzuchu. Paweł rozczulił się: biedna malutka, znowu ci słabo.

– No, moja malutka – odezwała się Joanna, patrząc z wściekłością na swojego odbicie w lustrze – sama sobie zafundowałaś tę żabę. Więc ją teraz wcinaj.

Puściła wodę. Nalała płynu do kąpieli. – Żeby to szlag! Ja się nią przecież udławię ze złości, tą żabą.

Przysiadła na brzegu wanny. Wanna była piękna. W lososiowym kolorze. Sedes, bidet, umywal-

ty, ruski? za taki szmelc! To i dwójki niewarte!

Jegomość odepchnął mnie energicznie lokciem. Okiem znawcy obrzucił chłopaka i jego ofertę handlową: Ty, ruski! te komplety kupuję. Wszystkie trzy. Masz tu dychę, znaj pana, i bądź szczęśliwy, żeś się tego gówna pozbył.

Nie wiem, czy chłopak rozumiał polską, dumną mowę zazywnego jegomościa. Osobiście wolałabym, żeby nie. Wszak handlowe, szlachetne intencje na pewno zrozumiał. Zaprotestował słabo: Nie magu, panie! Nie, nie!

To odliczyłam czterdzieści pięć. Po piętnaście za każdy. I kupiłam. Zazywny jegomość długo wołał za mną, że musi to jakaś wariatka, wypuszczona z Kochanówki.

Ale niech nią sobie będę. Tą wariatką. Albo życiowym dziwolągiem.

– A za ile pani kupiła, Anno-Mario? – rzeczowo pyta sąsiadka – Pewno za tyle, ile żądali. Oj, Anno-Mario, pani nie potrafi żyć. Trzeba się z nimi targować, oni zawsze opuszczają, te dziadki, bo przycisnęło ich, tych ruskich, i dobrze im tak, draniom. A ten czajnik to ja specjalnie dla pani. Paniny od dawna wyrzucenia, cały czarny. okopcony. Policzę taniej, Anno-Mario. Po sąsiedzku. O trzy tysiące zaledwie więcej niż mnie samą kosztował. Nie chce pani? Niech się pani dobrze namyśli, Anno-Mario. U nas w sklepach taniej pani nie kupi niż za pięć dych. No cóż. Nie to nie. I tak go sprzedam. Mam swoje własne rynki zbytu. Na wsi, bo tam jeszcze ruscy nie docierają. Wsiowi ode mnie kupią i będą szczęśliwi. Żeby pani wiedziała, Anno-Mario, całkiem dobrze teraz dzięki ruskim mogę dorobić do swojej żebraczej renty. Latarkę udało mi się za piątkę, a przehandlowałam za dychę. Na takiej głupiej topacie, Anno-Mario, zarobiłam na czysto dwadzieścia. Tak, tak. Ruski chciał za nią dwadzieścia pięć, utargowałam na dwadzieścia trzy, a przehandlowałam za czterdzieści trzy. Wsiowemu się opłaciło, mnie się opłaciło, i wszyscyśmy zarobili na tym interesie. Bo, Anno-Mario, trzeba umieć myśleć.

Anna-Maria

## E. L. Skalnik. Z tygodnia na tydzień (21)

Chciała wysunąć się spod wielkiego, cisnącego ją ciała Pawła, lecz Paweł zaprotestował sapiąc, że jeszcze chwileczkę, gaseczko; więc posłusznie zniechęciła. Jego oddech był mdłaco słodki, usta lepkie – jakby wciąż cmołkał wedłowską czekoladkę. Nie mogąc dłużej już znieść ani tego oddechu, ani tej lepkości ust – odwróciła głowę. A Paweł wciąż sapał jej przy uchu swoje tradycyjne wyznania miłosne o tym, że jest jego małą, malutką gaseczką, całą jego i dalej w tym stylu, wściec się można. Zawsze tak zresztą glindził po odwaleniu tej roboty. A ona mu od dawna odpowiadała w myślach, że owszem, on też jest jej. Cały jest wstrętnym, tustym wieprzem, któremu w odpowiednim momencie da popalić. Ty wieprzu, myślała Joanna, poczekaj, ja ci kiedyś pokażę. Co prawda, zupełnie nie wiedziała, co

Joanna, i szybko wysliznęła się z łóżka. Zgarnęła ubranie, poszła do łazienki. Ta tutaj, obok salonu nazywanego przez Pawła „intymnym”, była wykładana ciemnogranatową glazurą. Połyskiwały lustra. Łazienka jak marzenie. Wszystkie w tej chałupie są jak marzenie, choć każda urządzona w innym kolorze. Dwie są na dole, trzy na piętrze.

Taki wieprz, pomyślała Joanna, a ma tyle cholernego szmalu. Do obrzydzenia.

W lustrze widziała swoje odbicie. Ładnej, młodej dziewczyny o wzbierającym krągłością brzuchu. Niedługo ten brzuch będzie większy. Będzie coraz większym, ohydny brzuchem, w którym rozpycha się dziecko Pawła. Będzie musiała to dziecko urodzić. Dotykać. Przewijać. Karmić.

I ciało Joanny pokryło się nagle gęsią skórą.

ka też w tym kolorze. I rząd ręczników kąpielowych. Nawet papier toaletowy.

Dotknęła ręcznika. Cudownie miękki i włochaty. Wycierać się takim to pełna rozkosz.

I mieszkać w tej chałupie to też pełna rozkosz. To jak cud. To spełnienie. To niczym gwiazdka z nieba.

Swoje pierwsze przyjęcie po ślubie wyda przy basenie. Paweł obiecał, że zimą basen będzie czynny, że nie wyłączy tej części willi z użytkowania. Specjalnie dla ciebie, gaseczko! Będziesz mogła pluskać się i pływać, to bardzo zdrowe dla kobiet w ciąży. A potem, gdy już znowu będziesz płaska i zgrabna, och, gaseczko, ja będę sobie popijał koniaczek i przyglądał się tobie, nagiej, smukłej wynurzającej się jak nimfa z wody... Boże, co za erotoman! Ale niech mu tam, żeby go cholera, ważne, że basen będzie czynny.

Joaska, matko, a z kim ty się oprowadzasz? Widziałam cię znowu z tym starym, tustym old-boyem, który już kilka razy przyjeżdżał po ciebie pod budę? Wózek ma niezły, trzeba przyznać, ale teraz dużo jest facetów, którzy mają niezłe wózki, a nie noszą przed sobą takiej obfitej samary! Ja bym na takiego nie spojrzęła nawet na bezludnej wyspie – zadźwięczały nagle kąśliwe słowa Magdy, którą spotkała kilka dni temu przed Meinlem na Piotrkowskiej. Magda zawsze była wredna. Szlając się zaczęła dawno, już w drugiej licealnej chodziły ploty, że spała z niejednym. Powodzenie, trzeba przyznać, miała jak cholera. Przebierała w chłopkach niczym w ulęgalkach. Na tych, co jeździli maluchem, nawet nie spojrzęła. Nie schodziła niżej poloneza. Maturę olała, wydawało się

jej, że zostanie Miss Polonią. Idiotka! Nie przeszła nawet przez pierwsze eliminacje na miszkę Łodzi. Odwal się, dobrze, powiedziała Magdzie, wściekla i upokorzona. Moja broszka, z kim się wprowadzam. A może mnie się tacy właśnie podobają? O, Boże, Joaska, nie wylgupiaj się, zdumiała się Magda, a potem zaczęła nawijać o tym swoim nowo poderwanym narzeczonym. Ze jest zbudowany jak młody bóg, nie gorzej niż Schwarzenegger, ma metr dziewięćdziesiąt, ognisty brunet, jeździ nowiutkim opelkiem, i jest przedstawicielem Diora na Polskę.

Cholera, ale to zabrzmiało! Aż szlag na miejscu trafił, taka Magda, wycieruch, który przetrwał przez nie wiadomo ile łózek, strzeliła takiego faceta. A ja, cholera, z tym wieprzem muszę, pomyślała wtedy Joanna. Na szczęście zapytała, co to znaczy być „przedstawicielem Diora na Polskę”? No, to znaczy, że on rozprowadza kosmetyki Diora po polskich sklepach, odpowiedziała z pychą w głosie Magda. Raz na miesiąc wyjeżdża na narady do firmy, do Paryża. Miesięcznie potrafi wyciągnąć i z piętnaście baniek na czysto! Zdajesz sobie sprawę, Joaska, jaki to szmal! Opelka też dostał od firmy... Co tak na mnie patrzysz? Och, kochana, bo ja tam z pierwszym lepszym się nie zadaje. Takie volvo, jakim jeździ ten twój grubas, to można sobie przywieźć ze Szwecji za parę groszy... odklepane po wypadku.

Przypominając sobie wyniosłą minę Magdy, Joanna parsknęła śmiechem. Zanurzyła się w wannie. Bardzo przyjemnie. Wprost rozkosznie czuć na całym ciele ten miękki, ciepły dotyk wody.

– Jesteś pierwsza na mojej liście gości kochana Magduniu – pomyślała Joanna. – Razem z tym swoim brunetem przystojniakiem. Wszystkich was zaproszę. Wszystkich z klasy. Niech przyjdą. Niech zobaczą. Niech im żyła wyjdzie. Niech ich zamurują. Niech zamkną te swoje parszywe gęby mamlę o tym, że oprowadzam się z grubym i starym old-boyem. Och, jaki on się wam wszystkim wyda wspaniały. Nawet powabny. Nawet piękny. Gdy go zobaczycie w tej willi. Tego basenu. Tego jego szmalu, który tu jest widoczny na każdym kroku.

Śmiała się. Zły nastrój minął. Pomyślała, że nie powinna poddawać się żadnym złym nastrojom. Ostatecznie wszystko, nawet pieszczyt Pawła, da się przetrzymać. Nawet w ostateczności i ciąży. Tego bachora też.

Diabła tam! Nawet choćby i bliźniaki, tfu, na psa urok – jeżeli się ma w niedalekiej perspektywie to wszystko, co się ma.

Czym się przejmować, matko święta! Kaze Pawłowi do bachora zatrudnić niańkę. Niańka będzie przewijać, karmić itepe. A ja będę udawać czułą, troskliwą matkę i z okiem błyszczącym macierzyńską miłością pochylać się nad łóżeckiem swego dzieciątka. Udawać przecież potrafię. Przeciężnęła się w wannie. Piersi już trochę bola. Nie szkodzi.

Udawać. Tak. Chyba to niezłe robię, skoro tu jestem.

– Gaseczko? – usłyszała głos Pawła – co ty tam tak długo? Żle się poczuła?

– Wręcz przeciwnie! – zawołała – Czuję się świetnie.

I tak się dokładnie czuła: świetnie, świetnie.

## Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

poza uległością mogłaby mu pokazać, ale i tak przeżywała w ten sposób swoją małą, własną chwilę triumfu. Ze przynajmniej w myślach może nazywać go wieprzem. I nie tylko wieprzem. Ze chociaż „cała jego”, to myśli należały tylko do niej. A on, ten wieprz, nigdy ich nie pozna. Chociaż tyle przewagi. Lepsza taka, niż żadna.

– Powiedz, powiedz, dobrze ci ze mną, maleńka?

– Tak, tak – odpowiedziała szeptem Joanna. A żeby cię szlag, pomyślała.

– I kochasz bardzo, bardzo swego Pawelka?

– Bardzo, bardzo – odszepiała, ty, idioto, myśląc, trzeba by mieć bielmo na oczach albo być zboczoną, żeby kochać kogoś takiego jak ty. Taką wielką, tustą świnię.

– I ja cię kocham bardzo, bardzo, gaseczko – zasapał Paweł, a jego ręka zesliznęła się pieszczotliwie wzdłuż brzucha Joanny.

Joanna przestraszyła się. Do cholery, chyba nie zachwiewa mu się od nowa powtarzać numeru, pomyślała.

Musnęła czule wargami spocony bark Pawła.

– Już czas na mnie, Pawelku. Mama będzie się niepokoić.

Westchnął ciężko. Ale dłoń cofnął.

I ona też westchnęła. Z ulgą, że się udało.

– Też chciałabyś zawsze tylko ze mną, co, gaseczko? Jestem niezły, powiedz maleńka? Niezły jestem?

– Och, Pawelku...

– Już niedługo i będziesz zawsze moja. Moja, prawda?

– Och, Pawelku, twoja – przytaknęła skwapliwie

Nie chcę tego bachora. Za nic, pomyślała.

Teraz wszystkie spotykane na ulicy kobiety w ciąży wzbudzały w niej wstręt. Chodziły jak kaczki na szeroko rozstawionych nogach, kołysząc wielkimi, wysuniętymi do przodu brzuchami.

Niedługo sama siebie zaczęła się brzydzić, pomyślała Joanna. Coś muszę zrobić, jakoś się tego pozbyć. Muszą być jakieś sposoby, kiedy skrobanka nie wchodzi w grę. Żeby to z siebie wyrzucić. Tego bachora. Nie jest mi potrzebny. W moim przyszłym, szczęśliwym życiu z moim ukochanym wieprzem wystarczy mi do szczęścia sam wieprz. Wieprza i jego bachora razem nie da się znieść.

A ginekolog powiedział, że ciąża mocna, zdrowa. Wydalo się jej wtedy, że ziemia usuwa się spod nóg. Jak to? Dlaczego? To niemożliwe, żeby prawidłowa! Co ten głupi lekarz wygaduje? Może się nie poznał? Czula się przecież tak bardzo źle. I tak cieszyła się z tego, że czuje się aż tak źle. Bo im gorzej się czuła, tym większą miała nadzieję na rychłe rozwiązanie swego ciążowego problemu. Była przekonana, że nastąpi ono naturalnie lada dzień. Tak wiele kobiet traci dzieci w przedwczesnych poronieniach, właśnie tu, w tym cholernym mieście, gdyż jest to miasto zatrute ołowiem i wszelkimi możliwymi truciznami, o czym zresztą stała trąbią gazety. No i bardzo dobrze, że zatrute. Niech i ją podtruje, aby szybko i skutecznie. Anita, kiedy chodziła z Budą, też tak okropnie rygała, tak się męczyła, a od czwatego miesiąca brała zastrzyki na podtrzymanie i co trochę lądowała w szpitalu z tych samych, szlachetno-macierzyńskich pobudek. Ma te same objawy co Anita, czyli jest



Za nierozsądne zachowanie się i nie przemyślane decyzje trzeba płacić, i to z nawiązką. Osąd będzie surowy i niewiele mający wspólnego z poczuciem sprawiedliwości. Tam gdzie jedni widzą plusy, drudzy dostrzegają tylko minusy. Człowiek mądry nie zraża się tymi trudnościami.



Czas wytchnienia mija, rodząc nowe przeszkody, które trzeba będzie przezwyciężyć. Konflikt okaże się mniej groźny od przypuszczalnego, otoczenie odetchnie z ulgą i uzna, że lepszy wróbel w garści niż dzięcioł na dachu.



Trud pokonania oponentów powiedzie się ku niezadowoleniu ukrytych wrogów. Do ostatecznego zwycięstwa jeszcze daleko, lecz wszystko jest na najlepszej drodze. Tysiące drobnych spraw zaprzętą głowę, wybiją z rytmu. Nie wolno ufać Jowiszowi.



Decyzja zapadła, miłość musi raz być rozkoszą, raz bólem. Najważniejszy próg został przekroczony, przeszłość zatrze się we wspomnieniach, przyszłość będzie wymagać poważnego zastanowienia się nad sobą. Ważna rozmowa rozstrzygnie o tym.



Zaufanie do siebie jest piękną cechą, lecz zarazem zwodniczą. Mądrość to ból i odwaga. Cóż z tego, skoro lwia natura kusi rozkosznym rozleniwieniem i pragnieniem zepchnięcia na innych odpowiedzialności. Taka postawa musi się zemścić.



Każdy ma prawo do pomyłek, nikt nie narodził się bohaterem. Nie wolno zbyt wiele wymagać od otoczenia, ani też ludzię się własną potęgą. Najbliższa aura astralna nie sprzyja zdrowiu Pani. Mniej determinacji, więcej luzu i spokoju.



Nie ma sytuacji bez wyjścia, opresji bez ratunku. Łatwiej wszak walczyć będąc przypartym do muru, gdy liczy się tylko zwycięstwo, a nie straty. Im mocniej dotyka nas życie, tym silniej nas wiąże. Życie jest szansą, poza nim tej szansy nie ma.



Nieoczekiwana zmiana zaskoczy i nadejdzie w chwili, gdy nikt nie będzie na nią przygotowany. Gwiazdy przestrzegają przed słabością, radzą gotować się na niespodzianki. Tydzień lepiej spędzić w domu, u boku wypróbowanych przyjaciół.



Tryumf łatwo może przerozdzić się w pełną egoizmu pychę i w ślepa wiarę we własną moc. Nic bardziej złudnego. Owoce zwycięstwa trzeba zebrać, ale też podzielić się nimi z otoczeniem tak, by nabrało przekonania, iż odegrało w tej rozgrywce istotną rolę.



Biada tym, którzy ufają Księżycowi – władcy zwodniczych nadziei. Nie przemyślane postępowanie opóźni pomysły rozwiązania problemów. Wyjazd nie dojdzie do skutku, aczkolwiek nie oznacza to całkowitego załamania planów. Przeciwnie. W następnym tygodniu wszystko powróci do normy.



Jowisz i Wenus toczą bój nad głowami Wodników, uosabiając rozsądek i uczucie. Bój ten nadwerzę zdrowie i pochłonie czas. Dlatego warto tak postępować, by się później tego nie wstydzili. Zawsze znajdują się tacy, którzy czerpią przyjemność z szyderstwa.



Zło zrodziło dobro, błąd okazał się najtrafniejszym wyborem. Z biegiem dni goją się dawne rany. Dom obdarzy radością, zmuszając do rezygnacji ze zbyt ambitnych planów. Nikt nie posiada dwóch koni, nikt też nie służy dwóm panom. Najwyższy czas się z tym pogodzić.

SAR. MON. SULIAN

Zagrzechotał automat. Posypały się szyby. Kulę przebiły karoserię z twardym „paag-taag”.

Czołgając się ku przodowi dzipa i ciągnąc za sobą Chrisa, Laura zobaczyła, jak jej obrońca wślizguje się w wąski przesmyk między pojazdem a pokrytym sprasowanym śniegiem stoki. Przykucnął obok zderzaka, poza polem widzenia człowieka, którego nazwał Kokoschka. W tym momencie zagrożenia nie wyglądał już czardziejsko, nie był aniołem stróżem, ale zwykłym człowiekiem. W istocie wcale nie był wybawcą, lecz posłańcem śmierci, bo to jego obecność ściągnęła tutaj zabójcę.

Wobec nalegań Danny'ego wślizgnęła się pod dzipa. Chris wślizgnął się tam również; nie płakał już, nie chęć, żeby tata pomyślał, że się boi. Nie wiedział, jak jego ojciec dostał kulę, bo twarz miał wtedy wtuloną w kurtkę na piersiach Laury. Wpętlanie pod dzipa nie miało sensu; Kokoschka i tak ich znajdzie. Nie mógł być aż tak głupi, żeby nie zajrzeć pod dzipa, kiedy nie mogli przecież uciec gdzie indziej, więc najwyżej zyskali w ten sposób trochę czasu, zaledwie kilka minut.

Kiedy już cała była ukryta pod dzipem, przyciągnął do siebie Chrisa, aby dostarczyć mu tyle dodatkowej osłony, ile mogło dać jej ciało, usłyszała, że Danny odzywa się sprzed samochodu:

– Kocham cię.

Przeszył ją dotkliwy ból, gdyż uświadomiła sobie, że te dwa krótkie słowa są również słowami pożegnania.

\* \* \*

Stefan wcisnął się pomiędzy dzipa a brudny, sprasowany śnieg pokrywający zbocze. Było tu niewiele miejsca, poprzednio nie wystarczyło mu go nawet na otwarcie drzwi z tej strony samochodu. Było go zaledwie tyle, żeby prześlizgnąć się do tylnego zderzaka. Kokoschka mógł się go tam nie spodziewać. Wtedy wystarczyłby jeden celny strzał, nim zdążyłby się obrócić i wygarnąć do niego serię z automatu.

Kokoschka. Nigdy w życiu nie czuł się tak zaskoczony, jak w momencie, kiedy Kokoschka wysiadł z tego Pontiacu. To znaczyło, że wiedzieli o jego zdradzieckich knowaniach w instytucie. I wiedzieli również, że stanął pomiędzy Laurą a jej losiem. Kokoschka wyruszył Piorunową Drogą z oczywistym zamiarem wyeliminowania zarówno zdrajcy, jak i Laury.

Z nisko pochyloną głową Stefan przepychał się teraz zawzięcie między dzipem a zboczem. Automat zagrzechotał i szyba nad nim roztrzaskała się. Śnieg na stoku był w wielu miejscach zlodowaciały i boleśnie kaleczył mu plecy. Pokonał ból i zapał się całym ciałem o samochód. Łód popękał, a śnieg leżący pod nim sprasował się jeszcze bardziej, ułatwiając mu przejście. Wiatr rwał przez ten wąski tunel, zapchany jego ciałem, wyjąc pomiędzy karoserią a zboczem. Wydawało mu się, że towarzyszy mu tu jakaś niewidzialna istota, która ogłuszającym gwizdaniem szczydzi z niego.

Widział, jak Laura i Chris wczolgują się pod dzipa, ale był świadomy tymczasowości tego schronienia, przedłużającego życie o minutę, może mniej. Kiedy Kokoschka dostanie się przed wóz i tam ich nie znajdzie, zajrzy pod dzipa, położy się i otworzy ogień, rozrywając ich na strzępy w tej kryjówce.

A co z Danny'ym? Był potężnie zbudowanym mężczyzną, ze swoimi barami niedźwiedzia, z pewnością zbyt wielkim, aby szybko wczolgać się pod dzipa. Poza tym był już postrzelony; ból musiał znacznie utrudniać mu ruchy. Ale przede wszystkim Danny był mężczyzną, który nie kryje się w obliczu niebezpieczeństwa, szczególnie w takiej sytuacji, jak ta.

W końcu Stefan dotarł do tylnego zderzaka. Ostrożnie podniósł głowę i zobaczył Pontiacu zaparkowanego osiem stóp dalej, na południowym pasie. Drzwi były otwarte, silnik pracował. Kokoschki nie było. Trzymając swojego Waltera PPK/S kaliber 380, Stefan oderwał się od ośnieżonego stoku i przesunął za tył dzipa. Kucnął i zerknął zza prawego, tylnego błotnika.

Kokoschka był na środku drogi, poruszając się w kierunku przodu dzipa, gdzie, jak sądził, wszyscy się skryli. Trzymał w ręku Uzi z wydłużonym magazynkiem. O wyborze tej broni zapewne zadecydowała konieczność przystosowania się do epoki. Kiedy Kokoschka dotarł do miejsca pomiędzy dzipem a Blazerem, otworzył znowu ogień, prowadząc go od lewej ku prawej. Kule zagwizdały, odbijając się od metalu, dziurawiąc koła i z głuchym odgłosem rykoszetowały od nawierzchni szosy.

Stefan strzelił i spuścił.

Nagle, z szaleńczą odwagą, Danny Packard rzucił się na Kokoschkę, wypadając z swego ciasnego ukrycia przy chłodnicy dzipa, gdzie leżał przywierając do ziemi tak szczerle, że wystrelone właśnie pociski z automatu przeszły mu tuż nad głową. Był ranny od pierwszej serii, ale nadal zachował siłę i szybkość, i przez moment zdawało się nawet, że zdoła dopaść bandytę i obezwładnić go. Kokoschka właśnie odwracał się w prawą stronę, by zmienić kąt ostrzału,

kiedy dojrzał rwącego ku niemu Danny'ego, musiał więc obrócić się i zmienić kierunek ognia. Gdyby był kilka stóp bliżej dzipa, a nie na środku drogi, nie zdołałby na czas zareagować.

– Danny, nie! – krzyknął Stefan. Udało mu się postać trzy kule Kokoschce, mimo że Packard już biegł w stronę tamtego.

Ale Kokoschka utrzymywał bezpieczną odległość i skierował otwór lufy prosto na Danny'ego. Dzieliły ich wtedy jeszcze trzy albo cztery stopy. Uderzenia kilku pocisków odepchnęły szarżującego mężczyznę do tyłu.

Dla Stefana nie było pocieszeniem nawet to, że kiedy został trafiony Danny, Kokoschka również dostał dwie kule z Waltera – jedną w lewe biodro, drugą w lewy bark – które zwały go na ziemię. Padając upuścił automat; broń potoczyła się po asfalcie.

Leżąc pod dzipem Laura krzyknęła przeraźliwie.

Stefan uniósł się z ziemi z tyłu samochodu i pobiegł w kierunku Kokoschki, który leżał na ziemi tylko trzydzieści stóp dalej, w pobliżu Blazera. Biegając ślizgał się po zaśniewionej nawierzchni, z trudem utrzymując równowagę.

Kokoschka był ciężko ranny i najwyraźniej w szoku, niemniej jednak dostrzegł Stefana. Przetoczył się w kierunku Uzi, które leżało przy tylnym kole Blazera.

Stefan wystrzelił w biegu trzy razy, ale nie miał właściwej pozycji do strzału, a Kokoschka toczył się w przeciwnym kierunku, więc nie trafil

Dean R. Koontz

GROM<sup>(5)</sup>

drania. Nagle Stefan potknął się i upadł na środku drogi na jedno kolano, uderzając się tak mocno, że ból wystrzelił w górę uda, aż do biodra.

Tocząc się, Kokoschka dosięgnął automatu.

Widząc, że nie zdąży dopaść tamtego na czas, Stefan opadł na drugie kolano i podniósł Waltera obiema rękami. Znajdował się niedaleko, zaledwie dwadzieścia stóp od Kokoschki. Ale nawet wytrawny strzelec może nie trafić z dwudziestu stóp, jeżeli tylko warunki będą dostatecznie złe, a takie właśnie były teraz: stan paniki, nienormalny kąt strzału i wiejący z siłą sztormu wiatr, który mógł znieść pocisk.

Leżąc na ziemi, Kokoschka otworzył ogień w tym samym momencie, w którym jego ręce spoczęły na Uzi, nawet nim jeszcze zdążył obrócić automat, marnując pierwsze dwadzieścia naboju na serię, która poszła pod Blazera, przebijając opony przednich kół.

Kiedy Kokoschka obracał broń ku niemu, Stefan z ogromnym wysiłkiem zapanował nad sobą i trzykrotnie wystrzelił. Ponieważ wiał wiatr i strzelał pod nieodpowiednim kątem, musiał liczyć naboje. Jeżeli spudluje, nie będzie czasu na ponowne załadowanie.

Pierwsza kula z Waltera chybiła.

Kokoschka w dalszym ciągu strzelał obracając broń w jego kierunku, aż linia strzału dosięgnęła maski dzipa. Pod samochodem byli Laura i Chris; Kokoschka strzelała z poziomu zerowego i na pewno parę kul poszło pod samochód.

Stefan wystrzelił po raz drugi. Uderzenie pocisku trafiło Kokoschkę w korpus i automat umilkł. Ostatni strzał Stefana trafil Kokoschkę w głowę. Było po wszystkim.

Spod dzipa Laura widziała niewiarygodnie odważną szarżę Danny'ego, widziała, jak padł na plecy i nieruchomie, i wiedziała, że nie żyje, że tym razem nie będzie odroczenia wyroku. Rozpacz zalała ją jak światło straszliwej eksplozji i w przeblysku intuicji ujrzała swą przyszłość pozba-

wioną Danny'ego, obraz tak mroczny i złowrogi, że prawie zemdląca.

Wtedy przypomniała sobie o Chrisie, ciągle żyjącym i potrzebującym ochrony jej ciała. Odepchnęła rozpacz, wiedząc, że i tak powróci do niej później – jeżeli przeżyje. Teraz ważne było tylko, aby Chris przebrnął przez to wszystko i – jeśli to możliwe – uchroniony został od widoku przesytego kulami ciała swego ojca.

Leżąc ciałem Danny'ego zasłaniała jej widoczność, ale dostrzegła, jak Kokoschka upadł trafiony. Widziała powtórnie, jak zbliża się do obalonego bandyty i przez moment wydawało się jej, że najgorsze ma już za sobą. Potem jej obrońca poslizgnął się i upadł na kolano, a Kokoschka potoczył się w kierunku upuszczonej broni. Znowu rozległy się strzały. Padło ich wiele w ciągu kilku sekund. Usłyszała, jak parę kul przeszło pod dzipem, zatrzaskując blisko, ołów przecinający powietrze ze śmiercionośnym świstem, który brzmiał głośniejszy niż jakikolwiek inny dźwięk na świecie.

Nic nie mąciło ciszy, która zapadła po strzałach. Zrazu Laura nie słyszała ani wiatru, ani słabego szlochu syna. Aż z wolna rosnące napięcie tych dźwięków przerwało ciszę.

Zobaczyła swego obrońcę żywego i połowa jej istoty odczuła ulgę, ale druga połowa była pełna irracjonalnego gniewu o to, że przetrwał i że ściągnął tu za sobą tego Kokoschkę, który zabił Danny'ego. Z drugiej strony, Danny – a także ona i Chris – z pewnością zginęliby w katastrofie spowodowanej przez ciężarówkę, gdyby jej obrońca się nie zjawił. Kimże, do diabła, był? Skąd przychodził? Dlaczego tak się nią zajmował? Była przestraszona, zła, oszołomiona, chora na duszy i całkowicie zdezorientowana.

Jej obrońca, najwyraźniej przeszywany bólem, podniósł się z kolana i kulejąc podszedł do Kokoschki. Laura obróciła się jeszcze bardziej i spojrzała wzdłuż opadającej ze wzgórza drogi, poza leżącą nieruchomo głową Danny'ego. Nie wiedziała, co dokładnie robi jej obrońca, ale wyglądało to jakby rozdzierał ubranie na Kokoschce.

Po chwili zawrócił, kulejąc, pod górę, niosąc coś, co ściągnął z trupa.

Kiedy dotarł do dzipa, przykucnął i zajrzał pod niego.

– Wyjdź. Skończono.

Miał pobladłą twarz i zdawało się, że w ostatnich paru minutach przeżył więcej niż w ciągu poprzedniego ćwierćwiecza. Odkasnął. Głosem, w którym, jak się wydawało, rozbrzmiewał autentyczny, głęboki żal, powiedział:

– Przykro mi, Lauro, bardzo mi przykro.

Wyczołgała się na brzuchu w kierunku tyłu dzipa, po drodze uderzając głową o podwozie. Pociągnęła za sobą Chrisa, zachęcając go do wyjścia tą drogą, gdyby bowiem wysunął się bliżej maski samochodu, zobaczyłby ojca. Jej obrońca pociągnął ich przez ostatnie parę stóp. Laura oparła się na siedząco o tylny zderzak i mocno objęła syna.

Trzęsąc się, chłopiec powiedział:

– Chcę być z tatusem.

Ja też – pomyślała Laura. Och, maleńki, ja też chcę z nim być, tak bardzo chcę; wszystkiego, czego mi na świecie potrzeba, to twój tatuś.

Śnieżyca, dmuchając z ogromną siłą śniegiem z nieba, zamieniła się teraz w prawdziwą zamieć. Popołudnie przeszło w zmierzch. Światło dzienne przysgasało i wszędzie szary, ponury dzień ustępował przed niezwyklej, fosforującą ciemnością sypiącej śniegiem nocy.

W taką pogodę niewielu ludzi wybiera się w podróż, ale Stefan był pewien, że ktoś się pojawi. Nie minęło dziesięć minut, od kiedy zatrzymał Blazera Laury, ale nawet w tej wiejskiej okolicy i podczas zawiści nie należy oczekiwać, że droga długo jeszcze będzie pusta. Musiał z nią porozmawiać, a potem zniknąć, zanim zostanie wciągnięty w następstwa tego krwawego zdarzenia.

Przykucnął za dzipem, przed nią i płaczącym chłopcem, i powiedział:

– Laura, muszę się stąd wynosić, ale niedługo wrócę, już za parę dni...

– Kim jesteś? – spytała gniewnie.

– Teraz nie ma na to czasu.

– Do diabła, chcę to wiedzieć, mam do tego prawo.

– Tak, masz i za parę dni się dowiesz. Ale w tej chwili musimy przygotować ci wiarygodne wytłumaczenie, tak jak zrobiliśmy to w sklepie. Pamiętajasz?

– Idź do diabła.

Nie ustępował.

– To dla twojego dobra, Lauro. Nie możesz powiedzieć władzom całej prawdy, bo będzie to brzmiało nieprawdopodobnie, rozumiesz? Uznaną, że to wszystko zmysłszas, zwłaszcza gdy zobaczysz sposób, w jaki cię opuszczę... no więc, kiedy im opowiesz, jak zniknąłem, to albo będą pewni, że jesteś zamieszana w morderstwo, albo że jesteś szalona.

Popatrzyła na niego z furią i nie odezwała się. Nie miał do niej pretensji o ten gniew. Może pragnęła, aby nie żył, ale to również rozumiał. Budziła w nim jedynie miłość, współczucie i głęboki szacunek.

Cdn.